Nr. 58. Lwów, Niedziela dnia 6. Października 1878 r. Tom VII.

TYDZIEŃ

LITERACKI, ARTYSTYCZNY, NAUKOWY I SPOŁECZNY.

ROK V.

PRENUMERATA we LWOWIE
Rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
PRE UMERATA na PROWINCYI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 17 złr; 60 cnt. półrocznie 8 złr. 80 cnt. kwartalnie 4 złr. 40 cnt.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA:
KSIĘGARNIA POLSKA.
L. 14 plac halicki.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni
J. K. Żupańskiego w POZNANIU. PRENUMERATA
w POZNANIU: Kwartalnie 7 m. z przesyłką 8 m. 50 f.
We Francyi, Anglii, Ameryce itd. kwartalnie 10 franków.
W Krakowie skład główny w Księgarni S. A. Krzyżanowskiego.

ZA WINY NIEPOPEŁNIONE.

POWIEŚĆ

przez

MICHAŁA BAŁUCKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

Z tem szalonem postanowieniem ruszył z miejsca i przeciskając się przez tłum szukał błyszczącym wzrokiem Julii. Spotkał ją spacerującą po sali. Musiał wyglądać groźnie, bo w pierwszej chwili ujrzawszy go idącego prosto ku niej zbladła i cofnęła się. Wnet jednak odzyskała zimną krew i chciała minąć go udając, że nie widzi. To było niepodobnem, bo zastąpił jej drogę i stanął przed nią tak, że ruszyć się nie mogła.

— Panno Julio — odezwał się głosem stłumionym z wewnętrznego wzburzenia — proszę mi wytłomaczyć, co to wszystko znaczy?

— Nie mam powodu tłómaczyć się przed nikim z mego postępowania — odrzekła z pogardą.

— Musisz, ja panią zmuszę do tego. — Syknął z siłą.

— Mój panie — odezwała się matka — co znaczy ta impertynencya? Proszę nas uwolnić od siebie, inaczej będziemy musiały wezwać pomocy.

— Ja żądam wytłomaczenia.

— Spytaj się pan o to pana Adolfa — rzekła Julia, a spostrzegłszy w tej chwili zbliżającego się do nich Adolfa, rzekła do niego:

— Bądź pan łaskaw wytłomaczyć temu panu, dlaczego znać go nie chcemy.

To mówiąc wskazała drwiąco i pogardliwie na Jana i poszła z matką dalej w głąb sali.

— A więc to tutaj źródło — odezwał się Jan i przystąpił blisko do Adolfa — żądam od pana wytłomaczenia.

— Ja sądzę, że pan najlepiej sam byś to powinien sobie wytłomaczyć, kto się ukrywa z własnem nazwiskiem, ten musi mieć powód do tego i wie że to nazwisko nie przyniosłoby mu chluby.

— Nie rozumiem. Tłómacz się pan jaśniej.

— Jeżeli więc pan masz w tem pewną przyjemność usłyszeć to jeszcze z ust moich, o czem sam wiesz już dobrze, to ci powiem, że właściwe nazwisko pańskie figuruje w aktach kryminalnych i dla tego się pan do niego nie chcesz przyznać.

Jeszcze nie skończył tych słów, kiedy odgłos policzka rozległ się po sali i równocześnie dał się słyszeć gromki głos Jana:

— Kłamiesz!

Zrobiło się zamięszanie na sali, zgiełk, wrzawa. Jedni przez drugich tłoczyli się, aby się dowiedzieć o co chodzi. Zbliżył się inspektor policyi i w grzecznych ale dobitnych wyrazach poprosił sprawców zamięszania o wyjście z sali. Rozkaz jego szczególniej był zwrócony do Jana, którego wyzywająca postawa kazała się domyślać, że on był główną przyczyną. To też nie namyślał się długo. Nie miał co robić tu, gdzie się bawiono. Zabawa była ironią dla niego w tej chwili. Zresztą nie ustępował pokonany, napiętnował oszczercę, jak na to zasługiwał, miał więc już niejakie zadosyćuczynienie. Teraz na Adolfa następowała kolej pomścić obrazy, jaka go spotkała publicznie. Jan był najpewniejszym, że się tu bez pojedynku nie obejdzie i z radością prawie oczekiwał tego.

Ale ku wielkiemu zdumieniu jego nikt ze strony Adolfa nie pokazał się u niego. Przyszedł tylko Leon i aptekarz odwiedzić go i pogadać o wczorajszem zdarzeniu, które ogromnie poruszyło wszystkich. Objaśniano sobie po wszystkich domach ten wypadek w najrozmaitszy sposób, im kto mniej wiedział, tem więcej dodawał i urosły ztąd najpotworniejsze plotki. Aptekarz i Leon przyszli do Jana, jako do najwiarygodniejszego źródła, bo z nikąd prawdy dowiedzieć się nie mogli, gdyż Adolf zaraz po tym wypadku znikł ze sali i Nadermanowie nie bawiąc długo wynieśli się. Jeden więc tylko Jan mógł im całą tę rzecz wyjaśnić. Nie przyszli do niego jedynie dla zaspokojenia ciekawości, ale i przez życzliwość. Sądzili, że może mu będą potrzebni.

Jan podziękował im serdecznie za okazaną przychylność i opowiedział im to, co sam wiedział w tej sprawie, a w końcu wyraził zdziwienie swoje, że Adolf dotąd swoich sekundantów nie przysłał.

— No, to już więcej jego jak pana obchodzić powinno — odezwał się aptekarz.

— To prawda — dodał Leon — ty jesteś pokryty.

— A właściwie to Adolf był pokryty — mówił dalej aptekarz z drwiącym uśmiechem — musiałeś go pan porządnie pokryć, bo ja aż na drugim końcu sali słyszałem.

— Nieborak pewnie leczy się zimnymi okładami, bo byłem dziś rano u niego i zastałem drzwi zamknięte.

— W każdym razie ta rzecz tak zostać nie może — odezwał się poważnie Jan. — Jeżeli on nie ma zamiaru wyzwać mnie, to ja go wyzwać muszę.

— A to ciekawym dlaczego? Czy ci mało jeszcze, żeś go tak przy wszystkich utraktował? A przyznam ci się, jesteś nienasycony.

— To jeszcze nie jest żadną satysfakcyą dla mnie, bo tu nie idzie o małe przekroczenie form towarzyskich, o jakąś bagatelną obrazę. Tu zaczepiony jest mój honor. Adolf zrobił mi zarzut, który potrzebuje wyjaśnienia w obec wszystkich. Powinien albo udowodnić to co powiedział, albo odwołać w obec wszystkich. Jeżeli tego nie zrobi, postąpię sobie z nim jako z najostatniejszym nikczemnikiem, gdziekolwiek go spotkam. Czy mogę liczyć na waszą pomoc?

— Najchętniej — odezwał się Leon — Cóż mamy robić?

— Iść przedewszystkiem do niego i żądać w mojem imieniu wyjaśnienia, dowodu na to, co powiedział, a jeżeli go nie da — a dać go

nie może, bo to, co powiedział, jest nikczemną potwarzą — to wtedy...

— Wtedy pojedynek, to się rozumie — rzekł Leon wstając i zabierał się wraz z aptekarzem do wyjścia; odchodząc obiecali Janowi dziś jeszcze zawiadomić go o rezultacie. Niebawem prosto od niego poszli do mieszkania Adolfa; nie zastali go tam, służący powiedział im, że wyszedł do państwa bankierów. Nie uważali za stosowne szukać go tam i czekali cierpliwie pory obiadowej, w której zwykle schodzili się wszyscy w restauracyi. Tam łatwiej im było poprosić go na osobną rozmowę. Dlatego umyślnie przyszli do restauracyi nieco później, aby utrafić porę, w której Nadermanowie wracali już z obiadu do siebie. Można było wtedy pod jakim bądź pozorem odwołać Adolfa od ich towarzystwa i zatrzymać go przy sobie.

Kiedy weszli na werandę, gdzie zwykle jadano obiad, nie zastali już Nadermanów, tylko Adolfa przy dużym stole w bardzo licznem i ożywionem towarzystwie. Coś żywo wszystkim rozpowiadał, a potem wyjął jakiś papier i czytał.

Leon i aptekarz usiedli przy drugim stole i kazali sobie podać obiad. To odosobnienie było nawet koniecznem, bo przy dużym stole nie było już miejsca. Siedzieli tedy w milczeniu i zabrali się do jedzenia nie wiele uważając na to, co Adolf głośno czytał; ale po chwili treść tego czytania zaczęła ich interesować, bo zauważyli że tyczyła się właściwie sprawy, dla której chcieli się widzieć z Adolfem. Nadstawili więc pilnie uszów i słuchali co przy drugim stole mówiono i czytano.

— Ale zkądże pan przyszedłeś na to odkrycie? — spytał ktoś Adolfa.

— W sposób dosyć tajemniczy: odebrałem przed kilkoma dniami list bez podpisu, w którym stało że Leszczyc nie jest Leszczycem, nazywa się właściwie Górski, ojciec jego kilkanaście lat temu siedział w kryminale za kradzież kasy we Lwowie. Można się o tem dowiedzieć w archiwum sądowem tamże.

— I dlatego to pan wyjechałeś tak nagle...

— Chciałem się dowiedzieć o ile w tem wszystkiem było prawdy.

— Toś pan przedsiębiorczy człowiek, że na podstawie bezimiennego listu, który mógł napisać kto bądź dla zmistyfikowania, zrobiłeś taką drogę. Ja przyznam się rzuciłbym był list w kąt i nie przywiązywał do niego żadnej wagi.

— Toż chodziło panowie o to, że ten człowiek żył z nami, że przebywał w towarzystwie osób, których honor jest mi drogi.

— Czyli że byłeś pan zazdrosny — zauważył jeden z obecnych żartobliwie.

— Ja zazdrosny o niego? przyznam się panom, że nie byłoby o kogo. Musiałbym bardzo źle trzymać o sobie, aby być o takiego człowieka zazdrośnym; ale szło mi o to, aby przekonać się, czy ten człowiek wart być w gronie osób, dla których żywię głęboki szacunek i przyjaźń.

Kilku zaczęło pokrząkiwać znacząco, jakby nie dowierzali temu tłomaczeniu. Adolf nie zdekoncertowany tem mówił dalej w ferworze:

— Otóż pojechałem, zaciągnąłem bliższych wyjaśnień w sądzie karnym lwowskim i oto macie panowie szczegółowy wyciąg z aktów.

Tu podał arkusz, który szedł z rąk do rąk.

— Dla lepszego uwierzytelnienia kazałem poświadczyć ten dokument urzędownie, jako zgodny jest z oryginałem.

— Tak, to wszystko dobrze — odezwał się jeden z siedzących naprzeciw Adolfa i trzymając papier w ręku — akta tyczą się rzeczywiście jakiegoś Marcina Górskiego z przydomkiem Leszczyc, ale któż wie czy to ten Leszczyc. Nie jednemu psu Bryś.

— Ojciec owego jegomości jest właśnie Marcin na imię, w aktach stoi, że miał syna Jana, który wtedy miał lat cztery. Daty zgadzają się zupełnie. Nie ma wątpliwości, że to jego syn. I ten człowiek miał bezczelność wchodzić w nasze towarzystwo, a to oburzające. Kiedy pomyślę, że podawałem mu nieraz rękę, a doprawdy, nie mogę sobie teraz darować. I panowie chcieliście żebym się pojedynkował z takim człowiekiem i synem złodzieja. Takich można było tylko kazać obić; ale się z nimi nie bije.

Wśród tej rozmowy, aptekarz parę razy spojrzał na Leona wzrokiem, w którym malowało się przerażenie i zdziwienie mocne. Leon jednak nie uważał tego; bo uwaga jego cała skupiła się w słuchu. Niespokojnie ruszał się na stołku, machinalnie szarpał palcami chleb, który trzymał w ręku, czoło miał zmarszczone groźnie, twarz bladą, a po niej co chwila przebiegały konwulsyjne drgania, które świadczyły o mocnem wzburzeniu wewnętrznem. Gdy Adolf skończył mówić, on wstał i bledszy jeszcze, niż przedtem, przystąpił do stołu, wziął papier z jego ręki i przeglądał go uważnie.

— A to ty — odezwał się Adolf, który teraz dopiero go spostrzegł — masz, czytaj to ciebie także obchodzić powinno, bo i ciebie usiłował skompromitować swoją znajomością ten ptaszek.

Leon zmarszczył się jeszcze bardziej i nic nie odpowiadając czytał dalej. W milczeniu jego ponurem, groźnem, czuć było zapowiedź czegoś złego, wszyscy to instynktowo przeczuwali i dlatego umilkli.

— No i cóż ty na to? — spytał Adolf gdy przestał czytać.

— Nie widzę tu nigdzie nic, coby mogło rzucać jakikolwiek cień na charakter Jana — odezwał się Leon głosem, który z trudnością mu przeciskał się przez ścieśnione gardło. Tu zdaje się być tylko mowa o jego ojcu, jeżeli ten Górski jest rzeczywiście ojcem jego.

— Alboż to mało być synem złodzieja. Piękna rekomendacya — rzekł Adolf wybuchając drwiącym uśmiechem.

– W istocie bardzo mało, aby potępić człowieka, który nie zasługuje na to.

— Myślisz go bronić.

— Nie jego, tylko siebie, bo jestem jego przyjacielem.

— Przyznam ci się, że nie masz się z czem chwalić.

Blada dotąd twarz garbuska zapłonęła nagle rumieńcem, oczy błysnęły dziko. Widocznie burzyło się w nim, bo ręce drżały mu jak we febrze, choć starał się siłą woli zapanować nad wzruszeniem.

— Więc dla tego tylko bić się nie chcesz z nim — mówił powoli, usiłując być spokojnym — że uważasz to za ubliżenie dla siebie bić się z synem złodzieja?

Mówiąc to mierzył go przenikliwym wzrokiem.

— To się rozumie — odparł opryskliwie Adolf.

— Ale mnie, spodziewam się, nie odmówisz tego honoru? A jeżeli to grzeczne zaproszenie nie wystarcza ci, to dodam inne mniej grzeczne.

To mówiąc rzucił w twarz Adolfa serwetą, którą trzymał w ręku.

— Co to znaczy? — zapytał zmięszany Adolf cofając się przed tą niespodziewaną napaścią.

— Może który z panów będzie łaskaw wytłomaczyć temu jegomości co to znaczy. Jest podobno taka gra towarzyska, w której rzuca się na drugą osobę chustką lub serwetą i mówi się: kocham cię za to i za to. Otóż ja ci powiem, że gardzę tobą za to, żeś podły oszczerca i tchórz nikczemny. Spodziewam się, że to wystarczy ci, abyś stanął w obronie swojej. Możesz to zrobić śmiało, mój ojciec nie siedział w kryminale, jeno na senatorskiem krześle.

Ostatnie słowa powiedział drwiącym, szyderczym tonem, ukłonił się wszystkim i wyszedł w towarzystwie aptekarza.

(C. d. n.)

RZECZ O POJEDYNKU

przez

Dra Józefa Rosenblatta.

II.

(*Pogląd historyczny na początek i rozwój pojedynków. Historya pojedynku we Francyi*)

(*Ciąg dalszy*).

Historyą pojedynku we Francyi podzielić możemy dla lepszego poglądu na 5 okresów. Okres pierwszy obejmuje czas od Karola Wielkiego do Ludwika V., a więc mniej więcej do połowy wieku 13go, i przedstawia nam rozwój i rozpowszechnienie się pojedynku sądowego we Francyi, jest to — jak powiada *Cauchy* — jeden z najznakomitszych pisarzy francuskich, którzy zajmowali się pojedynkiem, złoty wiek pojedynku sądowego we Francyi. Okres drugi obejmujący czas od Ludwika św. do Karola IX, a więc do połowy wieku 16go, przedstawia nam upadek pojedynku sądowego, a wzrost wojen prywatnych panów francuskich, stanowiących owe ogniwo łączące dawniejsze pojedynki sądowe z nowożytnymi pojedynkami honorowymi. W tym to okresie przeobraża się pojedynek sądowy, który zaczyna znikać, w pojedynek honorowy, który się coraz wyraźniej wytwarza. Okres trzeci dalej obejmujący czas od Karola IX. do rewolucyi francuskiej, t. j. do roku 1789 przedstawia nam wzrost i rozpowszechnienie się pojedynku honorowego, widzimy tu cały szereg daremnych usiłowań ustawodawców zdążających do wykorzenienia szerzącego się jak zaraza przesądu. Pojedynek tysiączne corocznie pochłania ofiary, a zaradzić złemu nie podobna. W okresie czwartym sięgającym od rewolucyi aż do roku 1837 pojedynki nie są tak powszechne jak w okresie poprzednim; ustawodawstwo, które się w okresie poprzednim wysiliło na wynajdywanie środków karania pojedynku, uznaje jego bezkarność; pojedynek karze nie ulega; jest to zatem okres

bezkarności pojedynku po okresie najsurowszych kar. Okres piąty wreszcie, rozpoczynający się od owego orzeczenia trybunału kasacyjnego w Paryżu z dnia 22go czerwca 1837 r., uznającego pojedynek za karygodny na równi z zabójstwem, a sięgający do chwili obecnej, znów przywrócił karygodność pojedynku, który karanym bywa jako przestępstwo przeciw bezpieczeństwu życia i ciała.

Przystępujemy do przedstawienia pojedynku w okresie pierwszym, Karol Wielki utrzymał w mocy pojedynki sądowe, aczkolwiek pozwolił się tylko bić na kije „melius visum est — powiada — ut in campo cum fustibus pariter contendant, quam perjurium perpetrent in absconso" (lepiej ażeby się w walce równej spotykali kijami, niż żeby przysięgi fałszywe składali w ukryciu.) Ludwik, jego syn, już dał wybór między kijem a bronią, zastępców Ludwika zaś broń stała się powszechnem narzędziem pojedynków, tylko niewolnicy bili się na kije, jak to wyżej rzekliśmy. Z opozycyą przeciw rozpowszechniającym się coraz bardziej pojedynkom występuje kościół, który domaga się powrotu do przysiąg jako środków dowodowych. Powstają spory między szlachtą a kościołem; panowie francuscy bronią pojedynku i obstają przy nim jako przy swym przywileju; kościół przeciwnie potępia go i orzeka wykluczenie z grona wiernych tych, którzy w pojedynku dopuszczają się zabójstwa lub cielesnego uszkodzenia; poległych w pojedynku zaś uważa za samobójców i odmawia im uroczystego pogrzebu. Lecz i opozycya kościoła, (objawiona głównie na soborze w Walencyi w roku 855) nie zdołała powstrzymać szerzącego się coraz więcej zwyczaju, dopiero w wieku 12, gdy swawola doszła już do najwyższego stopnia, bo bito się o najdrobniejsze pretensye, zaczęły się miasta domagać przywilejów ograniczających dopuszczalność pojedynków, i tak nadaje Ludwik VII. w roku 1168 miastu Orléans prawo, że o dług niżej 5ciu solidów pojedynek sądowy dopuszczonym być nie ma; przywileje te były jednak wyjątkowe; pojedynek był regułą.

Taki był stan pojedynku sądowego we Francyi aż do Ludwika śgo. Ludwikowi należy się zasługa, że pierwszy w drodze ustawodawczej znosi pojedynek sądowy, a wprowadza w jego miejsce dowód z świadków; powiada on w rozporządzeniu z roku 1260: „znosimy pojedynek (walkę), a w jego miejsce wprowadzamy dowód ze świadków." Słusznie zatem Ludwik śty widząc w pojedynku, prawem i zwyczajem uznany, środek dowodowy usuwa go zastępując go innym; przestępstwa karygodnego w pojedynku upatrywać nie było można, bo to sprzeciwiałoby się tradycyi i opinii ogólnej. Francya dzieliła się jednakowoż wówczas, jak wiadomo, na baronie, a baronowie byli udzielnymi prawie panami i ustawodawcami na swych terytoryach. Rozporządzenia królewskie obowiązywały tylko na dominiach królewskich, ale nie miały wagi w ziemiach baronów i hrabiów. Ażeby i baronów francuskich zachęcić do pójścia za swym przykładem, Ludwik nie usunął całkiem pojedynku, ale ograniczył go nadzwyczaj, bo do zbrodni najcięższych, gdzie innego nie było dowodu.

Zmalało nieco znaczenie pojedynku sądowego za Ludwika śgo, ale pojedynek nie znikł; obstawała przy nim szlachta, obstawali i inni, którzy z pojedynków mieli dochody, i tak czytamy w historyi owych czasów o ciekawej skardze zaniesionej w roku 1260 do parlamentu (sądu) paryskiego przez niejakiego Mathieu li Ooiers przeciw królowi o to, że miał prawo pobierania od każdego na dworze królewskim odbywającego się pojedynku po 5 solidów, zaczem wskutek zniesienia pojedynków przez króla znaczną ponosi stratę i wynagrodzenie jej żąda.

Tak stała rzecz aż do Filipa Pięknego, który znów pojedynkom sądowym inny nadał obrót. Nadmienić mianowicie należy, że już w wieku XII i XIII zaczęły się szerzyć we Francyi wojny prywatne panów francuskich, którzy się nawzajem najeżdżali i spory swe rozstrzygali w walce, którą staczali albo z drużyną (secondssecundus) albo tylko samowtór. Otóż Filip Piękny chcąc usunąć i pojedynek sądowy i wojny panów francuskich postanowił rozporządzeniem z roku 1296, że podczas wojny króla z Anglią żadne pojedynki dozwolone być nie mają, lecz każdy dochodzić ma swego prawa „w zwykłej drodze sądowej," z czego wynika, że pojedynek był już za Filipa tylko nadzwyczajnym środkiem, używanym tylko w przypadkach ważniejszych i wątpliwych. Niezadługo, bo zaledwie 9 lat później jednak tenże Filip Piękny rozporządzeniem z roku 1306 pojedynki sądowe znów przywrócił. Rozporządzenie to z wielu względów ciekawe stanowi, że pojedynek sądowy stoczonym być może w niektórych cięższych wypadkach tj. w oskarżeniach o ciężkie zbrodnie, jednakowoż tylko za zezwoleniem królewskiem. Nadto strony chcące stoczyć pojedynek sądowy, poddać się musiały tylu przeróżnym formalnościom—musiały trzechkrotną złożyć przysięgę, były od chwili zarządzenia pojedynku aż do stoczenia go zamykane itd. tak, że pojedynek był nadzwyczaj utrudnionym. Do tego jeszcze uczynił Filip pojedynek sądowy nadzwyczaj kosztownym, bo pojedynek odbywał się wobec króla i całego dworu, wobec zgromadzonej szlachty, sądu, heroldów i adwokatów, a wszystkich musiał ugościć wyzywający na pojedynek, tak, że pojedynek pochłaniał ogromne sumy, podobnie jak turnieje, a opowiadają nam o niejakim panu Farneze, że stracił wskutek pojedynku cały swój majątek 100.000 talarów wynoszący, sumę na ówczas nie małą. Wymagając więc do pojedynku zezwolenia królewskiego i przywiązując do niego tyle formalności i kosztów, sądził Filip Piękny, że potrafi go wyrugować. Przesąd ten był jednak w wieku XIV jeszcze tak potężny, że nawet Dante, jeniusz tak po nad swoje czasy wzniosły, wierzy w znaczenie pojedynku sądowego powiadając, że Bóg odsłania w nim prawdę na domaganie się człowieka. Formalności przepisane przez Filipa i opozycya miast francuskich, które się sprzeciwiały pojedynkowi i domagały się przywilejów uwalniających je od pojedynku, zaczęły powoli usuwać pojedynek z sądownictwa, a ostatnim pojedynkiem sądowym zezwolonym przez parlament, tj. mającym służyć za środek dowodowy, był pojedynek stoczony w roku 1385 między Janem de Carrouge a Jakóbem Legris z powodu oskarżenia wyniesionego przez Jana de Carrouge o to, że Legris podstępnym sposobem wdarł się do zamku Carrouge i żonę skarżącego zhańbił. Pokonany w pojedynku Legris został natychmiast powieszonym; w krótki czas potem jednak wykryła się jego niewinność, gdyż znaleziono prawdziwego winnego. Od tego czasu parlament pojedynku w miejsce dowodu więcej nie dopuścił.

Niezadługo jednak wystąpił na widownię publiczną pojedynek honorowy. Henryk II. był owym królem, który pierwszy zezwolił na pojedynek dla pomszczenia krzywdy na honorze. W roku 1547 odbył się za zezwoleniem królewskiem, a więc legalny pierwszy pojedynek honorowy między Franciszkiem de Vivonne, panem na zamku Chasteigneraye i Guy Chabotem, panem de Monlieu. Podajemy tu ciekawy akt zezwolenia królewskiego, akt dający sankcyą monarszą walce o życie między dwoma panami. „My Henryk II. z Bożej łaski król Francyi itd. — powiada rzeczony akt — czynimy wiadomo, co następuje: gdy Franciszek de Vivonne, pan na zamku Chasteigneraye i Guy Chabot pan de Monlieu poróżnili się między sobą słowy w wysokim stopniu honor obrażającymi i gdy poróżnienie ich było przedmiotem rozpoznania naszych książąt i marszałków Francyi, którzy uznali, że prawda nie może być wykrytą ani niewinny się usprawiedliwić w inny sposób jak tylko bronią, przeto jako opiekun szlachty naszego królestwa zezwalamy i nakazujemy, ażeby dla załatwienia sporu między p. Vivonne jako pozywającym, a p. Chabot jako pozwanym, za 4 dni od dnia dzisiejszego zezwolenia, ciż panowie stawili się przed nami celem walczenia samowtór w miejscu zamkniętem, ażeby oczyścić honor tego, przy którym zostanie zwycięztwo, a to pod karą, że nie stawający pozbawionym będzie szlachectwa, on i jego potomstwo na zawsze, straci wszelkie prawa i przywileje jakich używa szlachta kraju naszego i poniesie inne kary, jakie nakłada zwyczaj itd."

Pojedynek powyższym aktem królewskim zezwolony odbył się z ogromną pompą wobec króla i całego dworu i wobec licznie zgromadzonej publiczności w Saint-Germain en Laye, lecz zakończył się bardzo traicznie, bo śmiercią p. Chasteigneraye, ulubieńca królewskiego. Wskutek tego wypadku król ślubował nie udzielać więcej zezwolenia na pojedynek i w rzeczy samej nie było więcej pojedynku odbytego za zezwoleniem i pod powagą króla. Był to zatem pierwszy ale i ostatni legalny pojedynek honorowy. Odtąd wchodzą coraz częściej w zwyczaj pojedynki prywatne, a królowie, którzy im dotychczas sprzyjali, zaczynają je ścigać widząc w nich zagrożenie państwa i podkopanie własnej powagi. Karol IX. wydał w roku 1566 pierwszy edykt przeciw pojedynkującym się, i od tego to edyktu rozpoczyna się trzeci okres pojedynku we Francyi, okres całego szeregu surowych edyktów, obok ciągłego omijania edyktów i ułaskawiania pojedynkujących się.

W rzeczonym edykcie wydanym w Moulins zagroził Karol IX. pojedynkującym się karą śmierci, uznając ich za dopuszczających się zbrodni obrazy majestatu. Zarazem postanowił król, że spory o obrazę honoru rozstrzygać ma sąd honorowy złożony z koniuszych i marszałków Francyi. Ale już za następcy jego Henryka III. Walerego zapomniano o powyższym edykcie i pojedynkowano się publicznie wobec króla i dworu. W roku 1578 odbył się w samym Paryżu słynny pojedynek między faworytem królewskim Jakóbem de Quélus i Karolem de Balsac d'Entragues, pochodzącym z zamożnego i wpływowego domu Guizów, Quélus, faworyt króla w pojedynku poległ; pochowany został świetnie z honorami książąt, a cały dwór przywdział żałobę. Ogromne to wywołało w Paryżu zgorszenie i przyczyniło się nie mało do owej opinii o bezkarności pojedynku, jaka się głównie we Francyi wyrobiła i dotąd zachowała.

Za Henryka IV. i jego następców wciąż

*

ponawiano surowe edykta przeciw pojedynkom, ale statecznie prawie i regularnie wszystkich ułaskawiano, tak iż pojedynki nadzwyczaj się mnożyły, bo czytamy, że za panowania Henryka IV. zginęło w pojedynku około 8.000 osób, a z kancelaryi królewskiej wydano około 7.000 aktów ułaskawiających. Pojedynki stają się coraz śmielsze, coraz zuchwalsze; „Paryż staje się polem bitwy — powiada Richelieu — a jak gdyby dzień im nie wystarczał, biją się i w nocy przy świetle księżyca.“

Jako dowód nadzwyczajnego zuchwalstwa, które jednak po raz pierwszy surowo zostało ukarane, zasługuje na wzmiankę pojedynek stoczony w roku 1627 między hrabią Montmorency, Bouteville i markizem Benoron, tudzież między ich sekundantami, który zakończył się skazaniem na śmierć tych, którzy zostali przy życiu i wykonaniem wyroku śmierci mimo wszelkich wielustronnych próśb o łaskę. Rzecz miała się następnie: Bouteville skazany już 2 razy za pojedynek zaocznie, schronił się do Brukseli i ztamtąd prosił króla Ludwika XIII. o ułaskawienie i udzielenie zezwolenia powrotu do Francyi. Ludwik XIII. pozwolił mu wrócić do Francyi, lecz zakazał pokazać się w Paryżu lub na dworze. Obrażony tem Bouteville, chełpił się, iż stoczy pojedynek w samym Paryżu przed pałacem królewskim, i dotrzymał słowa. Bouteville i Beuvron umówili się względem pojedynku mającego się odbyć dnia 12go maja 1627 w samo południe na placu królewskim w Paryżu i w rzeczy samej stoczyli pojedynek w towarzystwie sekundantów, którzy przyjętym zwyczajem także między sobą się bili. Beuvron został raniony, jeden z jego sekundantów poległ; Bouteville i sekundant jego Deschapelles zostali schwytani i osadzeni w Bastyli. Król polecił natychmiastowe przeprowadzenie ich procesu, i rzeczywiście zostali już dnia 21go czerwca 1627 skazani wyrokiem parlamentu (sądu) na śmierć jako winni obrazy majestatu. Zewsząd proszono o ich ułaskawienie, wiele osób na dworze się za nimi wstawiało, sam Richelieu był, jak powiada w swych pamiętnikach, przez czas jakiś nie zdecydowany, lecz nie długo się wahał; „il s'agit de couper la gorge aux délits, ou aux édits de votre Majesté“ (rozchodzi się o zgładzenie zbrodni lub edyktów Waszej Cesarskiej Mości), rzekł do króla, i ułaskawienie nie nastąpiło. Obaj zostali ścięci. Tak straszny przykład wywarł przez lat kilka silną moc odstraszającą, ale niezadługo i o tem zapomniano. Wróciły pojedynki, wróciła praktyka ułaskawiania. Do jakiego stopnia szerzyła się zaraza pojedynków, tego najwymowniejszym dowodem prośba duchowieństwa, wystosowana do Ludwika XIII. w r. 1625, wzywająca go do energicznego wystąpienia przeciw pojedynkom: „Panie — prosi duchowieństwo — pojedynkujący się wytrącają berło z rąk twoich i wydzierają miecz twej władzy królewskiej; strącają cię z tronu i uzurpują twe prawa, ażeby się według swych barbarzyńskich wyobrażeń mścić na swych nieprzyjaciołach. Justycya pogrążona w smutku, że liliowe kwiaty jej tronu więdną, że prawa jej są deptane nogami, że rozkazy jej nie zyskują posłuchu i nie mogą wstrzymać krwi szalenie i lekkomyślnie rozlewanej. Cała szlachta odziana w żałobę; ojcowie opłakują swe dzieci, żony mężów, sieroty płaczą za ojcami, siostry za braćmi; całe rodziny wymierają. Czas najwyższy, panie, ażeby uciec się do środków ostatecznych. Chory nieposłuszny czyni i lekarza okrutnym; radzimy ci panie, zburz ołtarz litości „dirue aram misericordiae,“ nie daj posłuchu krewnym i przyjaciołom, odmów wszelkiej łaski, nalegaj na to, ażeby edykta twoje były wykonywane...“ (C. d. n.)

KARTKA MIŁOŚCI.

POWIEŚĆ EMILA ZOLI.

Spolszczyła

WINCENTA LIMANOWSKA.

CZĘŚĆ TRZECIA.

(Ciąg dalszy).

V.

Noc zapadała. Z pobladłego nieba, na którem zabłysły pierwsze gwiazdy, cienki popiół zdawał się spadać na miasto i powoli, bezustannie zasypywał je. Wielkie cienie zalewały już wklęsłe przestrzenie; a w głębi horyzontu ukazywał się czarny wał, który pochłaniał resztki dnia, drżące jego promyki, co się na zachód cofały. Poniżej Passy gdzieniegdzie tylko dachy wyraźniej się rysowały.

— Co za ciepły wieczór! — szepnęła Helena, siedząc przed oknem, osłabiona ciepłymi wyziewami, które Paryż dosyłał jej aż tutaj.

— Piękna noc dla biednych ludzi — rzekł ksiądz, stojący za nią. — Jesień będzie łagodna.

Tego wtorku Joanna usnęła przy deserze, i matka, widząc ją trochę zmęczoną, położyła do łóżka. Spała już w łóżeczku swojem, a koło stołu pan Rambaud pracował nad poprawieniem zabawki, mechanicznej lalki chodzącej i mówiącej, którą sam darował jej był, a którą ona złamała; miał wielką już wprawę do tego rodzaju robót. Helenie tymczasem zabrakło powietrza, cierpiała od tych ostatnich upałów wrześniowych; otworzyła okno; to morze cieniu, ta przestrzeń czarna, co przed nią leżała, przynosiły jej ulgę. Potrzebując samotności, przysunęła fotel swój do okna; zdziwiła się, usłyszawszy głos księdza za sobą. Mówił dalej powoli:

— Czyś dobrze okryła małą? — Tu, tak wysoko, powietrze jest zawsze świeże.

Czuła potrzebę milczenia i nic nie odpowiedziała na to. Miłym jej był wdzięk zmroku, zniknięcie widzialnych dla oka przedmiotów, i ustanie wszelkiego hałasu. Na wierzchołku wież i wieżyczek paliły się światełka niby lampki nocne; św. Augustyn zgasł najprzód, Panteon błyszczał chwilę błękitnawem światłem, świecąca kopuła inwalidów utonęła niby księżyc w chmurach. Był to ocean, ta noc, która się rozpościerała w głębi cieniu, była to przepaść ciemności, w której drzemał świat. Ogromny a cichy odgłos dochodził z niewidomego miasta. W przeciągłym głosie, co huczał, dźwięki osobne wznosiły się jeszcze, słabe ale wyraźne; turkot omnibusu przejeżdżającego wybrzeżem, świst pociągu przelatującego po moście Point-du-Jour; a w dole szmer Sekwany, która rozlana wskutek ostatnich deszczów, szeroko płynęła, silnie oddychając jak żywa istota. Ciepły zapach rozchodził się jeszcze z dymiących kominów, a wśród tych wyziewów gorącego dnia, świeży powiew od rzeki ochładzał powietrze. Paryż znikł, dając się osłonić nocy niby kolos, i z oczami otwartemi nieruchomie leżał chwilę.

Nic tak nie rozczulało Helenę, jak ten przestanek w życiu miasta. Nie wychodząc od trzech miesięcy, przykuta do łóżka Joanny, za jedynego towarzysza nocy spędzanych u wezgłowia chorej miała ten wielki Paryż, rozpostarty na horyzoncie. Podczas upałów lipcowych i sierpniowych, okna prawie zawsze były otwarte; nie mogła zatem przejść przez pokój, nie mogła poruszyć się, odwrócić głowy, ażeby nie widziała wciąż jego obrazu. Zawsze był tam, nie opuszczał jej nigdy, dzielił cierpienia jej i nadzieje, jak przyjaciel, który się sam narzuca. Nie znała go i teraz, nigdy nie była tak daleko od niego, nie troszczyła się ani o jego ulice ani o jego mieszkańców; on zaś napełniał jej samotność. Tych kilka stóp kwadratowych, ten pokój cierpienia, którego drzwi tak starannie zamykała, otwierał przed nim szeroko oba swe okna. Często bardzo chcąc ukryć łzy swe przed chorą, oparłszy się o framugę, płakała, patrząc na niego; jednego dnia, kiedy sądziła, że już ją utraci, nieszczęśliwa, zrozpaczona, długo okiem goniła wznoszące się dymy piekarni wojskowej. Często także, w chwilach nadziei radość swą wynurzała przed dalekiemi okolicami przedmieścia. Każdy pomnik przypominał jej jakieś wesołe lub smutne uczucie. Paryż żył jej życiem. Ale szczególnie lubiła go o zmroku, kiedy po skończonym dniu uspokajał się na kwadrans, zapominał się i marzył, oczekując, zanim gaz nie zapalą.

— Co gwiazd! — szepnął ksiądz Jouve. — Miliony ich błyszczą.

Wziął krzesło i usiadł przy niej. I ona podniosła oczy, patrząc na niebo. Konstelacye tkwiły w firmamencie jak złote gwoździe. Jedna planeta, tuż koło horyzontu prawie, świeciła się jak drogi kamień, a kurzawa niewidzialnych prawie gwiazd zasypała sklepienie iskrzącym się piaskiem. Wóz powoli się obracał, podnosząc w górę hołoble swoje.

— Patrzcie — rzekła z kolei — ta mała niebieska gwiazdka z tej strony, widzę ją każdego wieczora... Ale zachodzi już, co noc osuwa się niżej.

Teraz ksiądz nie przeszkadzał jej już. Czuła go obok siebie jako jedno więcej źródło uspokojenia. W długich przerwach milczenia zamienili z sobą słów kilka. Dwa razy zapytywała go o nazwy gwiazd; zawsze widok nieba zaciekawiał ją. Ale on wahał się z odpowiedzią, nie wiedział.

— Czy widzicie — pytała — tę piękną gwiazdę, co tak błyszczy?

— Na lewo, nieprawdaż? — mówił, obok innej, nie tak wielkiej, zielonawej... Tak wiele ich jest, zapomniałem.

Zamilkli z oczami wzniesionemi, olśnieni i przejęci lekkim dreszczem wobec tej nieskończonej ilości światów, co wciąż jeszcze wzrastała. Po za tysiącami ich ukazywały się jeszcze tysiące w bezdennej głębinie nieba. Nieskończona ta moc światów paliła się spokojnym ogniem drogich kamieni. Mleczna droga bieliła się już, atomy słoneczne iskrzyły się w takiej ilości i tak daleko, że na kuli firmamentu tworzyły już tylko świetlaną wstęgę.

— Przeraża mię to — rzekła Helena bardzo cicho.

I pochyliła głowę, zanurzając wzrok swój w ciemną próżnię, która pochłonęła Paryż. Tu ani jednego światełka nie widać było jeszcze, zupełna noc panowała dokoła. Wielki, przeciągły głos miasta przycichł i złagodniał.

— Płaczesz? — spytał ksiądz — usłyszawszy łkanie.

— Tak — odpowiedziała Helena.

Nie widzieli siebie. Płakała długo, drżąc

z lekka na całem ciele. Po za nimi Joanna spała spokojnym, niewinnym snem; pan Rambaud, mocno zajęty robotą, pochylał siwiejącą swą głowę nad lalką, której członki rozebrał. Chwilami odzywał się cichy trzask odskakującej sprężyny, czasami jąkanie dziecinne, które grubemi palcami swymi jak mógł najłagodniej wydobywał z zepsutego mechanizmu. A kiedy lalka nadto głośno zagadała, zatrzymywał się od razu, niespokojny i zły, patrząc, czy nie obudził Joanny. Potem wracał ostrożnie do swego zajęcia, mając do pomocy tylko nożyczki i dłutko.

— Czego płaczesz, moja córko? — rzekł znowu ksiądz. — Czy nie mógłbym dopomódz ci w czem?

— O, zostaw mię — szepnęła Helena — łzy te przynoszą mi ulgę... Zaraz, zaraz...

Nie mogła odpowiedzieć, dławiły ją łzy. Raz już na tem samem miejscu boleść ją złamała; ale była wówczas sama; mogła płakać w ciemności, dopóki źródło bolesnego wzruszenia nie wyschło. A jednak nie miała teraz żadnego zmartwienia; córka uratowana, ona sama wróciła do jednostajnego, miłego trybu życia. Teraz powstało w niej nagle jakby dotkliwe uczucie wielkiej boleści, nie zgłębionej próżni, której czuła że nigdy nie zapełni, bezgranicznej rozpaczy, w której się pogrążała wraz ze wszystkimi drogimi sobie. Nie umiałaby określić, jakie nieszczęście groziło jej; wiedziała tylko, że straciła nadzieję i płakała.

Jeszcze w woniejącym kościele w czasie nabożeństwa Maryi, doświadczała podobnych chwil rozczulenia. Rozległy horyzont Paryża o zmroku sprawiał na niej głębokie religijne wrażenie. Płaszczyzna zdawała się rozszerzać, myśl o tych dwóch milionach ludzi, co znikali gdzieś w ciemności, przejmowała smutkiem. Potem, kiedy czarna noc zapadła, kiedy miasto znikło wraz z obumierającymi głosami swymi, ściśnione serce jej pękało, i gorące łzy toczyły się wobec tego najwyższego, martwego spokoju. Potrzeba wiary, miłości, religijnego ukorzenia się wywoływała wielki dreszcz. Wówczas to wschód gwiazd wzbudzał w niej radość i święty przestrach.

Po długiem milczeniu, ksiądz Jouve odezwał się znowu nalegająco:

— Moja córko, powinnaś mi się zwierzyć. Dlaczego wahasz się?

Płakała jeszcze, ale łagodnie już jak dziecko, jak istota zmęczona i bezsilna.

— Kościół przestrasza cię — mówił dalej.— Przez chwilę sądziłem, że Bóg zdobył serce twe. Ale inaczej się stało. Niebo ma swe zamiary... A więc, jeżeli nie ufasz księdzu, dlaczegoż nie miałabyś zwierzyć się przed przyjacielem?

— Macie słuszność — wyjąkała — tak, jestem zmartwiona i potrzebuję was... Muszę wyznać to przed wami. Będąc małą, nie chodziłam wcale do kościoła; dzisiaj, nie mogę bez głębokiego wzruszenia być świadkiem obrządku religijnego... I teraz, oto w tej chwili nie mogłam wstrzymać się od łez dlatego, że ten głos Paryża tak przypomina mi brzmienie organów; ten ogrom nocy, to piękne niebo... O, chciałabym wierzyć. Pomóżcie mi, nauczcie mię.

Ksiądz Jouve uspokoił ją, kładąc lekko rękę swą na jej rękę.

— Powiedz mi wszystko — rzekł łagodnie. Walczyła z sobą, pełna niepokoju.

— Nic mi nie jest — upewniam was... Nic nie kryję przed wami... Płaczę bez przyczyny, bo mi duszno, bo łzy me same płyną... Znacie życie moje. Nie umiałabym odnaleźć w niem ani smutku, ani błędu, ani wyrzutu... I nie wiem, nie wiem...

Głos jej zamarł. Ksiądz powoli wyrzekł to słowo:

— Kochasz, moja córko.

Zadrżała, nie śmiała zaprzeczyć. Milczenie znowu nastało. W morzu ciemności, które spało przed nimi, zaświeciła iskierka. Było to u stóp ich, gdzieś w przepaści, w miejscu, któregoby nie potrafili określić. Inne iskierki ukazywały się z kolei jedna za drugą. Powstawały w ciemności od razu, nagle, a potem migotały jak gwiazdy. Był to niby nowy wschód gwiazd na powierzchni ciemnego jeziora. Wkrótce zarysowały one podwójną linię idącą od Trocadero ku Paryżowi; następnie, inne drogi świecących punktów przerznęły tę pierwszą, powstały krzywe linie, łuki i utworzyła się z tego dziwna, wspaniała konstelacya. Helena wciąż jeszcze milczała, śledząc wzrokiem to migotanie, które przedłużało niebo po za horyzont, w nieskończoność, jak gdyby ziemia znikła, i ze wszystkich stron znajdował się niebieski firmament. I znowu wróciło owo wzruszenie, które złamało ją było niedawno przedtem, kiedy wóz zaczął powoli obracać się około swej osi, z hołoblą podniesioną w górę. Paryż zapalał się; głęboki i smutny wywoływał przerażające myśli o niebokręgu zasianym światami.

Tymczasem ksiądz tym głosem monotonnym i łagodnym, pochodzącym z przyzwyczajenia nabytego w konfesyonale, długo szeptał jej na ucho. Przestrzegał ją kiedyś, mówił, że samotność szkodzić jej będzie. Nikt nie może bezkarnie wychodzić po za obręb zwykłego życia. Nadto się zamknęła i swobodne pole zostawiła niebezpiecznym marzeniom.

— Jestem już bardzo stary — szeptał — często widywałem kobiety, które przychodziły do nas ze łzami, modłami, potrzebą wierzenia i klękania... To też nie mogę się mylić dzisiaj. Te kobiety, co tak żarliwie zdają się szukać Boga, są to tylko biedne serca, pożerane namiętnością. One w kościołach naszych uwielbiają tylko człowieka...

Miotana wzruszeniem, Helena nie słuchała go, usiłując tylko zrozumieć samą siebie nareszcie. Wyznanie wymknęło się jej nakoniec. Cicho, przytłumionym głosem rzekła:

— A więc tak — kocham... To i wszystko. Dalej, nie wiem, nie wiem...

Teraz on jej nie przerywał. Mówiła jak w gorączce, krótkimi urywanemi frazesami, i czuła gorzką przyjemność w tem, że mogła tak wyznać swą miłość, podzielić się z tym starcem tajemnicą, która dusiła ją od tak dawna.

— Przysięgam wam, że nie rozumiem siebie samej... Nie wiem sama, jak mi to przyszło. Może tak odrazu. Jednakże, dopiero powoli zaczęłam doznawać słodyczy tego uczucia... Zresztą, dla czego mam udawać silniejszą niż jestem? Nie starałam się uciec, byłam nadto szczęśliwa; dzisiaj, mniej jeszcze mam do tego odwagi... Patrzcie, moja córka była chora, o mało co nie straciłam jej, i oto, miłość moja tak była głęboka jak boleść, po tych dniach straszliwych wróciła potężna i opanowała mię i czuję, że mię unosi...

Drżąc cała, odetchnęła głęboka.

— Nakoniec, nie mam już sił... Mieliście słuszność, mój przyjacielu, ulgę mi sprawia to, że wam się zwierzyć mogę... Ale proszę was, powiedźcie mi, co się w mem sercu dzieje. Byłam tak spokojna, tak szczęśliwa. To uderzenie piorunu w życie moje. Dla czego to ze mną się stało? dla czego nie z inną? bo nie zasłużyłam na to, sądziłam się tak bezpieczną... O! gdybyście wiedzieli! Nie poznaję siebie... Ah! pomóżcie mi, ratujcie mię!

Widząc, że umilkła, ksiądz machinalnie, ze zwykłą swobodą spowiednika zadał pytanie.

— Imię, powiedz mi imię?

Wahała się; wtem dziwny szmer zwrócił jej uwagę. Była to lalka, która pod palcami pana Rambaud wracała powoli do swego życia mechanicznego; zrobiła właśnie parę kroków na stole, przy czem maszynerya nie zupełnie jeszcze naprawiona nieprzyjemnie skrzypiała; potem przewróciła się na wznak i gdyby nie pan Rambaud byłaby zleciała na ziemię. Śledził ją z rękami wyciągniętemi i pełen ojcowskiego niepokoju, gotów do podtrzymania upadającej. Zobaczywszy, że Helena odwróciła się, uśmiechnął się do niej, jak gdyby obiecując, że lalka będzie chodziła. I znowu zaczął coś dłubać w zabawie nożyczkami i dłutkiem. Joanna spała.

Helena, uspokojona tem cichem otoczeniem swojem, wyszeptała jedno imię na ucho księdzu. Ten nie poruszył się. Twarzy jego nie można było dojrzeć w cieniu. Po chwili milczenia — przemówił:

— Wiedziałem o tem, ale chciałem, byś mi sama wyznała... Moja córko, musisz wiele cierpieć.

I nie dodał już ani jednego pospolitego frazesu o obowiązkach. Helena przygnębiona, straszliwie zasmucona tą pogodną litością księdza, znowu patrzała na iskry, które przetykały złotem ciemny płaszcz Paryża. Iskry te mnożyły się bez końca. Były to jak te ognie, co biegają po czarnym popiele spalonego papieru. Świecące te punkta wyszły naprzód z Trocadero i skierowały się ku środkowi miasta. Wkrótce inne ognisko ich ukazało się na lewo, ku Montmartre; potem inne znowu na prawo, po za Inwalidami, i jeszcze inne, więcej w tyle, od strony Panteonu. Ze wszystkich tych ognisk od razu wylatywały szeregi małych płomyków.

— Czy pamiętasz rozmowę naszą — zaczął ksiądz powoli. — Nie zmieniłem zdania mego... Powinnaś wyjść za mąż, moja córko.

— Ja — rzekła przygnębiona. — Ależ tylko co wyznałam wam... Wiecie dobrze, iż nie mogę...

— Powinnaś wyjść za mąż — powtórzył z większą siłą. — Zaślubisz uczciwego człowieka...

Zdawało się, że w tej chwili urósł pod tą swoją starą sutaną. Wielka jego śmieszna głowa, która się zwykle przechylała na jedno ramię, podnosiła się teraz, a spojrzenie oczu zwykle na wpół przymkniętych tak było jasne i pewne teraz, że widziała je, jak się świeciły w ciemności.

— Zaślubisz uczciwego człowieka, który będzie ojcem dla twojej Joanny, i z którym wróci ci cała twa dawna prawość charakteru.

— Ależ ja go nie kocham... Mój Boże! nie kocham go...

— Kochać będziesz, moja córko... On kocha ciebie i jest dobrym.

Helena broniła się, zniżała głos, słysząc mały szmer, jaki pan Rambaud sprawiał po za nimi. Był on tak cierpliwy i tak silny w swej nadziei, że od trzech miesięcy ani jednego razu nie narzucał się jej z miłością swoją. Czekał ze spokojną ufnością, gotów zarazem do najcięższych ofiar. Ksiądz poruszył się, jak gdyby odwracając się w jego stronę.

— Czy chcesz, żebym mu powiedział wszystko?... Poda ci rękę i uratuje cię. I uczynisz go niezmiernie szczęśliwym.

Bezprzytomna prawie zatrzymała go. Serce jej buntowało się. Oni obydwaj przestraszali ją, ci ludzie tak spokojni i tak troskliwi, których rozum zachowywał się tak zimno, wobec gorączkowej namiętności jej. W jakimże świecie żyli oni, że mogli nie znać tego, co sprawiało jej tyle cierpienia? Ksiądz poważnym ruchem wskazał ręką na szeroką przestrzeń.

— Moja córko, spojrz na tę piękną noc, ten najwyższy spokój wobec twego wzruszenia... Czemu nie chcesz być szczęśliwą?

Paryż cały palił się. Małe tańczące płomyki zasiały morze ciemności z jednego końca horyzontu w drugi, i teraz miliony tych gwiazdek paliły się spokojnie w pogodną letnią noc. Żaden podmuch wiatru, żadne drganie nie poruszyło tych światełek, zawieszonych niby w przestrzeni. Paryż, którego widać nie było, utonął gdzieś w nieskończoności, tak wielkiej jak firmament. U stóp pochyłości Trocadero latarnie fiakra lub omnibusu szybkiem światłem przerzynały ciemności, jak gwiazdy spadające; przy świetle latarni gazowych, z których dobywały się niby mgły żółte, nie wyraźnie rysowały się fasady gmachów, klomby drzew. Na moście Inwalidów gwiazdy bezustannie krzyżowały się; poniżej wzdłuż ciemnistej wstęgi ukazywało się cudowne zjawisko, gromada komet, których złociste ogony spadały deszczem iskier; były to latarnie mostów na czarnych wodach Sekwany. Po za tem wszystkiem rozpoczynała się nieznana kraina. Długa krzywa linia rzeki rysowała się podwójnym sznurem świateł, które od miejsca do miejsca łączyły się z innymi podobnymi sznurami; była to niby świetlana drabina, rzucona w poprzek Paryża; oba jej końce opierały się o brzeg nieba, między gwiazdami. Na lewo biegła inna droga; z pól Elizejskich ciągnął się równy wąwóz od bramy Tryumfalnej na plac Zgody, gdzie świeciła się iskrząca plejada; dalej Tuilerye, Luwr, stosy domów nad brzegiem wody tworzyły czarne pręgi, które gdzie niegdzie przedzielały błyszczące kwadraty wielkich placów; a jeszcze dalej, w tyle, wśród masy dachów, światełka rozsypały się i nic już rozróżnić niepodobna było, chyba wklęsłość ulic, zagięcie linii bulwaru, rozszerzenie placu oświetlonego. Na drugim brzegu, na prawo, Esplanada tylko rysowała się wyraźnie ze swym prostokątem płomieni, podobnym do jakiegoś Oriona zimowych nocy, co utracił swą przepaskę; długie ulicy cyrkułu Saint-Germain smutnie świeciły rzadkiemi latarniami; po za niemi ludne cyrkuły, oświecone ściśnionemi szeregami ogni, jak mgławice. Latarnie gazowe i oświecone okna napełniały miasto, przedmieścia i dalekie okolice miryadami słońc, planetarnymi atomami niedostrzegalnymi dla oka. Chwilami zdawało się, że to jakieś święto olbrzymów, jakiś oświecony pomnik cyklopów, z jego schodami, oknami, terasami, jego światem z kamienia; linie lamp fosforycznym swym ogniem uwydatniały jego dziwną, potężną architekturę. Zawsze jednak widok ten napominał powstanie kostelacyi, ciągły rozrost nieba.

Helena idąc wzrokiem za ruchem księdza, długiem spojrzeniem objęła Paryż. Tych gwiazd nie znała także. Chętnie chciała by wiedzieć co to było to żywe światło tam, na lewo; widziała je co wieczór. Inne światełka zajmowały ją także. Były między niemi takie, które lubiła, były inne, które ją niepokoiły lub gniewały.

— Mój ojcze — rzekła — po raz pierwszy używając tej nazwy miłości i szacunku; pozwólcie mi żyć... To piękność tej nocy tak mię poruszyła... Omyliliście się, nie potrafilibyście teraz pocieszyć mię, bo nie możecie mię rozumieć.

Ksiądz rozłożył ręce, potem opuścił je z powolną rezygnacyą. Po chwili milczenia — rzekł z cicha:

— Zapewne, musi tak być... Wzywasz pomocy, a nie przyjmujesz tatunku. Ileż to już rozpaczliwych wyznań wysłuchałem, ileż łez nie mogłem powstrzymać!... Posłuchaj, moja córko, przyrzecz mi przynajmniej rzecz jednę: jeżeli kiedy życie stanie się nadto ciężkiem dla ciebie, pamiętaj, że jest uczciwy człowiek, który cię kocha i czeka na ciebie... Złożysz tylko rękę swoją w jego dłoni, a odnajdziesz spokój.

— Przyrzekam — odpowiedziała Helena poważnie.

W chwili, kiedy dawała tę obietnicę, w pokoju rozległ się śmiech. Joanna właśnie obudziła się i patrzyła na lalkę, chodzącą po stole. Pan Rambaud, uszczęśliwiony naprawą jej, wyciągał ręce swe, zawsze jeszcze bojąc się wypadku jakiego. Ale lalka mocno się trzymała; stukała piętkami swemi i kręciła głową, za każdym krokiem powtarzając te same wyrazy głosem papugi.

— O, to figel — szeptała Joanna — rozespana jeszcze.. Cóżeś jej zrobił, powiedz? Złamana była, a teraz żyje... Daj mi, pokaż... Jakiś ty dobry...

Tymczasem po nad Paryżem świetlany obłok wznosił się. Był to niby czerwony oddech żaru. Z początku jako ledwie widoczny odbłysk białawy wśród ciemności, powoli, w miarę tego jak noc zapadała, stawał się krwawym. Złożyły się nań wszystkie płomienie i cała suma życia, którą miasto wyziewało. Zawieszony w powietrzu, nieruchomie stojąc po nad miastem, obłok ten podobny był do owych obłoków brzemiennych piorunami i pożarem, które wieńczą paszcze wulkanów.

CZĘŚĆ CZWARTA.

I.

Podano letnią wodę do wypłukania ust, i panie delikatnie obcierały swe paluszki. Przy stole nastało chwilowe milczenie. Pani Deberle spojrzała dokoła, czy wszyscy skończyli, potem podniosła się, nic nie mówiąc; goście poszli za jej przykładem, wśród wielkiego stuku krzeseł. Stary jakiś pan, który siedział z prawej strony gospodyni domu, pospieszył podać jej rękę.

— Nie, nie — rzekła, sama prowadząc go do drzwi. — Będziemy pili kawę w małym saloniku.

Liczne pary posunęły się za nią. Na samym końcu dwie panie i dwóch mężczyzn dalej prowadzili rozmowę, nie myśląc przyłączyć się do szeregu. W małym salonie wróciła swoboda między gości. Kawa stała już na stole, na wielkiej tacy z laku. Pani Deberle z uprzejmością gospodyni domu troszczyła się o rozmaite gusta swych gości. Ale Paulina w większym jeszcze była ruchu, usługując przeważnie mężczyznom. Było około dwunastu osób, zwykła prawie ilość gości, które państwo Deberle zapraszali do siebie co środę, począwszy od grudnia. Wieczorem około dziesiątej wiele osób przybywało.

— Panie Guiraud, filiżankę kawy — mówiła Paulina, zatrzymując się przed małym, łysym człowiekiem. — A prawda, nie pijasz jej pan... A zatem, kieliszek kartuzki?

Ale zapominała się i zamiast kartuzki podawała koniak. Uśmiechając się, z miną pewną, obchodziła salon do koła, zaglądając wszystkim w oczy i swobodnie krążąc pomimo długiego ogona u sukni. Miała na sobie przepyszną białą suknię z kaszemiru indyjskiego, ozdobioną puszkiem łabędzim i kwadratowo wyciętą na piersiach. Kiedy już wszyscy mężczyźni z filiżankami w rękach stojąc pili powoli, Paulina zaczepiła młodego człowieka, syna Tissot, którego głowę znajdowała piękną.

Helena nie chciała kawy. Trochę znużona, usiadła na oboczu; miała na sobie czarną aksamitną suknię, która ją stroiła poważnie. W małym salonie palono, pudełka z cygarami stały przy niej na konsolce. Doktor zbliżył się i, wybierając cygaro — zapytał:

— Joanna dobrze się ma?

— Bardzo dobrze — odpowiedziała. — Byłyśmy dzisiaj w lasku, bawiła się jak szalona... Musi już spać teraz.

Oboje rozmawiali z sobą przyjaźnie, z poufałością ludzi, którzy widują się codziennie.

W tej chwili pani Deberle podniosła głos.

— Pani Grandjean może poświadczyć. Nieprawdaż, że wróciłam z Trouville około dziesiątego września? Deszcze ciągle czyniły pobyt u morza nieznośnym.

Opowiadała o swej wycieczce; trzy lub cztery panie otaczały ją. Helena musiała pozostać i przyłączyć się do ich grona.

— Myśmy spędzili miesiąc w Dinard, — opowiadała pani de Chermette. — O, śliczny kraj, i takie miłe towarzystwo!

— Po za chatą był ogród, a dalej terasa nad morzem — mówiła dalej pani Deberle. — Zdecydowałam się już była wziąć moję karetę i woźnicę... To daleko wygodniej do przechadzek... Ale pani Levasseur odwiedziła nas...

— Tak, którejś niedzieli — rzekła ta. — Byliśmy w Cabourg... O, bardzo dobre mieliście umieszczenie, trochę drogie, zdaje się...

— A propos — przerwała pani Berthier zwracając się do Julii — czy pan Malignon nie uczył panią pływać?

Helena zauważała w tej chwili nagłe zakłopotanie i niezadowolenie na twarzy pani Deberle. Kilka razy już zdawało się jej, że niespodzianie wymówione imię Malignou'a niemiłem było młodej kobiecie. Pani Deberle uspokoiła się wszakże natychmiast.

— Piękny mi pływak! — zawołała. — On! żeby kiedy nauczył kogo!... Ja, boję się okropnie wody... Sam widok kąpiących się sprawia mi dreszcz.

I ładnym ruchem podniosła pulchne ramiona, jak ptak co otrząsa zmoczone skrzydła.

— A więc, to nieprawda? — rzekła pani Guirand.

— Ależ naturalnie. Założę się, że to on sam wymyślił. Niecierpi mnie od czasu, jak przepędził tam miesiąc cały z nami.

Goście zaczęli przybywać. Panie z pękiem kwiatów we włosach, z zaokrąglonemi ramionami uśmiechały się, kołysząc głową; mężczyźni we fraku, z kapeluszem w ręku kłaniali się, starając się coś przemówić. Pani Deberle, nie przerywając rozmowy, podawała końce paluszków bliższym znajomym; wielu z nich nic nie mówiło; kłaniali się i przechodzili. Panna Aurelia zjawiła się także. Natychmiast zaczęła się zachwycać suknią Julii z ciemno szafirowego aksamitu, ozdobioną jedwabiem. Wszystkie panie teraz dopiero zdawały

się spostrzegać tę suknię. O, śliczna, prawdziwie śliczna suknia! Pochodziła od Wormsa. Mówiono o niej z pięć minut. Goście, wypiwszy kawę, stawili filiżanki to tu, to ówdzie, na tacy, na konsolkach, wszędzie; stary pan tylko nie mógł dojechać do końca, zatrzymując się za każdą łyżeczką i rozmawiając z jedną z pań. Ciepła woń kawy, mięszając się z lekkim zapachem strojów, rozchodziła się po salonie.

— Wie pani, żem nic nie dostał — rzekł młody Tissot do Pauliny, ktora mówiła mu o jakimś malarzu, do którego ojciec zaprowadził ją był dla oglądania obrazów.

— Jakto! nic pan nie miałeś!... Przyniosłam panu filiżankę kawy.

— Nie, pani upewniam panią.

— Muszę panu dać cokolwiek... Proszę, oto kartuzka!

Pani Deberle ukradkiem kiwnęła głową na męża. Doktor zrozumiał ją, sam otworzył drzwi do wielkiego salonu, dokąd wszyscy poszli; służący sprzątnął tacę. Chłodno prawie było w wielkim pokoju, gdzie sześć lamp i pająk o dziesięciu świecach rzucały żywe białawe światło. Były tam już panie, w kółku siedzące przy kominie; dwóch tylko czy trzech mężczyzn stało koło nich. Przez drzwi otwarte do salonu rezedy, słychać było piskliwy głos Pauliny, która sama tylko pozostała z młodym Tissot.

— Teraz, kiedy nalałam, musisz pan wypić... Cóż pan chcesz, żebym z tem robiła...? Piotrze, sprzątnąć tacę.

Po chwili ukazała się w wielkim salonie, sama biała w swej białej sukni ozdobionej puchem łabędzim. I z uśmiechem, który roztwierał jej świeże usta i ukazywał białe zęby—oznajmiła...

— Otóż i piękny Malignon!

Powitania i ściskania rąk trwały dalej. Pan Deberle stanął przy drzwiach. Pani Deberle, siedząc na niziutkiej kanapce między damami, podnosiła się co chwilę. Kiedy Malignon wszedł, odwróciła niby głowę. Młody człowiek ubrany był podług wszelkich reguł; włosy miał drobno ufryzowane, rozdzielone przedziałem, który dochodził aż do szyi. Stanąwszy na progu, umieścił na prawem oku szkiełko, robiąc przytem mały grymas, „bardzo szykowny“ — jak utrzymywała Paulina, i powiódł wzrokiem do koła salonu. Od niechcenia, nic nie mówiąc, ścisnął rękę doktora, potem skierował się ku pani Deberle, przed którą zgiął wysoką swą figurę, ustrojoną w czarny frak.

— A, to pan — rzekła tak, żeby ją słyszano. — Teraz już podobno pan pływa.

Nie zrozumiał, co miały znaczyć te słowa—odpowiedział jednak dowcipkując:

— Tak jest... Pewnego dnia uratowałem tonącego terneuva.

Dowcip ten bardzo się paniom podobał. Sama pani Deberle zdawała się być nim rozbrojona.

— Pozwalam na terneuvy—odpowiedziała.— Tylko co do mnie, wiesz pan, żem się nie kąpała ani razu w Trouville.

— A! a! lekcya pływania, którą dałem pani — zawołał. — Czyż nie mówiłem, któregoś wieczora u pani, w sali jadalnej, że chcąc pływać, trzeba poruszać rękami i nogami?

Wszystkie panie zaczęły śmiać się. Znajdowały go bardzo miłym. Julia wzruszyła ramionami. Nie podobna było mówić z nim poważnie. I powstała, idąc na przeciw jednej z pań, bardzo dobrej pianistki, która po raz pierwszy była u niej. Helena, siedząc przy ogniu, spokojnie patrzała i słuchała. Malignon szczególnie interesował ją. Zauważała, że dopóty manewrował, dopóki nie zbliżył się do pani Deberle, która rozmawiała z kimś za fotelem Heleny. Nagle głosy ich zmieniły się. Helena przechyliła się w tył, by lepiej słyszeć. Głos Malignona — mówił:

— Dla czego nie przyszłaś pani wczoraj? Czekałem aż do szóstej godziny.

— Daj mi pan pokój, szalony jesteś — szepnęła Julia.

Tu głos Malignon'a podniósł się.

— A, nie wierzysz pani w mojego terneuva. Ależ mam medal, pokażę go pani.

A z cicha dodał:

— Obiecałaś mi... Pamiętaj...

Cała rodzina jakaś wchodziła, pani Deberle sypała powitania i uprzejme słówka. Malignon zaś znowu znalazł się między paniami, ze szkiełkiem w oku. Helena zbladła, podsłuchawszy ten urywek rozmowy. Było to uderzenie piorunu dla niej, coś niespodziewanego a zarazem potwornego. Jakim sposobem ta kobieta, tak szczęśliwa, z tak spokojną białą twarzą, mogła zdradzać męża swego? Znała ją jako mierną inteligencyę i charakter miły z odrobiną egoizmu, co powinien był chronić ją od upadku. I jeszcze z takim Malignon'em! Nagle przypomniały się jej wieczory, spędzane w ogrodzie, Julia uśmiechnięta i szczęśliwa przy pocałunku, którym mąż dotykał jej włosów. Kochali się jednak. Przy tych myślach Helena doznawała uczucia niepojętego dla siebie, czuła gniew wielki do Julii, jak gdyby ta osobiście ją samą oszukiwała. Upokarzało ją to za Henryka a zarazem wściekła zazdrość przejmowała; wzburzenie, którego doznawała, tak wyraźnie malowało się na jej twarzy, że panna Aurelia spytała:

— Co pani jest... Pani słaba?

Stara panna, widząc ją samą, usiadła przy niej. Okazywała jej wielką przyjaźń, ujęta grzecznością, z jaką ta tak piękna a tak poważna kobieta słuchała jej ploteczek.

Ale Helena nic nie odpowiedziała. Potrzebowała widzieć Henryka, potrzebowała widzieć natychmiast, co robi i jak wygląda. Podniosła się, oczami poszukała go w salonie i nakoniec znalazła. Rozmawiał, stojąc przed wielkim, bladym mężczyzną; miał minę spokojną, zadowolnioną, z lekka uśmiechniętą. Przez chwilę patrzała na niego. Uczuła wreszcie rodzaj politowania, w którem postać jego malała trochę; kochała go jednak więcej jeszcze niż wprzódy, miłość połączyła się z chęcią zaopiekowania się nim. Zdawało się jej, że powinna mu wynagrodzić utracone szczęście; myśl ta wszakże niejasno jeszcze rysowała się w jej umyśle.

— O, tak! — szeptała panna Aurelia — to będzie wesołe, jeżeli siostra pani Guiraud ma spiewać... Po raz dziesiąty już słyszę „Turkawki.“ Nie spiewa nic więcej tej zimy... Wiesz pani, że się rozstała z mężem. Patrz pani na tego bruneta tam, przy drzwiach. Są z sobą jak najlepiej. Julia musi go przyjmować, inaczej ona nie byłaby...

— Ah! — rzekła Helena.

Pani Deberle szybko chodziła od grupy do grupy, prosząc, by się uciszono, bo siostra pani Guiraud ma spiewać. Salon napełnił się; ze trzydzieści pań siedziało na jego środku — szepcząc i śmiejąc się; — dwie z nich stały, rozmawiając głośno; pięciu zaś czy sześciu mężczyzn swobodnie jak u siebie kręciło się koło pań. Kilka cichych cyt! przeleciało, szmer głosów ustał, twarze przybrały wyraz martwości i znużenia, i tylko uderzenia wachlarzów słychać było w ciepłem powietrzu.

Siostra pani Guiraud spiewała, ale Helena nie słuchała jej. Patrzała na Malignon'a, który zdawał się z wielkiem upodobaniem słuchać „Turkawek,“ udając niezmierne zamiłowanie w muzyce. Czy podobna! ten młody człowiek! To zapewne w Trouville odegrali z sobą jakąś grę niebezpieczną. Z podsłuchanych wyrazów wnosić należało, że Julia nie poddała się jeszcze; ale upadek zdawał się być bliski. Przed nią Malignon, kołysząc się wybijał takt; pani Deberle okazywała uprzejme uwielbienie, a doktor milczał cierpliwie i grzecznie, oczekując końca spiewu, by wrócić do swej rozmowy z bladym, grubym mężczyzną.

Lekkie oklaski odezwały się, kiedy spiewająca umilkła.

— Śliczna! zachwycająca! — zawołało głosów kilka.

Piękny Malignon, podnosząc ramiona po nad głowami pań, klaskał w ręce, okryte rękawiczkami, nie robiąc przytem żadnego hałasu i powtarzał: „Brawo! brawo!“ śpiewającym głosem, który przewyższał wszystkie inne.

Zapał ten ostygł w tejże chwili, twarze uśmiechnęły się do siebie, kilka pań powstało, i znowu potoczyła się rozmowa, wśród ogólnego zadowolenia. Gorąco zwiększało się, pod uderzeniami wachlarzy zapach piżma rozchodził się ze strojów. Chwilami, wśród szmeru rozmowy, srebrzysty śmiech zadzwonił, lub słowo jakieś głośniej wymówione zwróciło ogólną uwagę. Trzykrotnie już Julia udawała się do małego salonu, prosząc mężczyzn co się tam schronili, by nie opuszczali tak samych pań. Szli za nią, a w dziesięć minut potem znikali znowu.

— To rzecz nieznośna — szeptała z miną zagniewaną — żadnego z nich zatrzymać nie można.

Panna Aurelia wymieniała tymczasem Helenie te panie, które po raz drugi zaledwie były na wieczorze u doktora. Była tam cała wysoka burżuazya Passy, ludzie bardzo bogaci. Wreszcie, przechylając się — szepnęła:

— To już rzecz skończona... Pani de Chermette wydaje córkę swą za tego wysokiego blondyna, z którym przez ośmnaście miesięcy... To przynajmniej teścia, która będzie kochała zięcia swego.

Tu przerwała sobie, bardzo zdziwiona.

— Patrzcie! mąż pani Levasseur rozmawia z kochankiem swej żony!... Julia przecie zarzekła się, że nie będzie przyjmować ich u siebie.

Helena powoli wodziła wzrokiem do koła salonu. A więc w tym świecie tak okazałym, wśród tej burżuazyi, mającej tak uczciwy pozór, były tylko same upadłe kobiety? Tolerowane w paryzkiem życiu rzeczy zadziwiały jej prowincyonalną surowość. Gorzko szydziła z siebie teraz, przypominając, ile cierpiała, kiedy Julia kładła rękę swą w jej dłonie. Prawdziwie, co za głupota bawić się w takie skrupuły! Rozwiązłość, zaprawiona odrobiną wyrafinowanej kokieteryi, spokojnie gnieździła się między burżuazyą. Pani Deberle zdawała się już być w dobrej harmonii z Malignon'em; malutka, okrągłutka i ładna bruneteczka, głęboko zasunąwszy się w fotel, śmiała się z dowcipów jego. Pan Deberle nadszedł na to.

— Cóż to, nie sprzeczacie się dzisiaj? — zapytał.

— Nie — odpowiedziała Julia wesoło. — Za wiele głupstw mówi... Żebyś wiedział, co on wygaduje...

Znowu spiewano. Ale trudniej już było uprosić o milczenie. Młody Tissot spiewał duet z „Faworyty“ z damą bardzo już dojrzałą, ale uczesaną à l'enfant. Paulina, stojąc u jednych drzwi, pośród czarnych fraków, z jawnem uwielbieniem patrzała na spiewaka, tak jak przypatrywała się dziełom sztuki.

— O! co za piękna głowa! — wymówiła w chwili, kiedy akompaniament z cicha tylko odzywał się, a wymówiła tak głośno, że wszyscy w salonie usłyszeli ją.

Wieczór upływał, na twarzach ukazywało się widoczne znużenie. Panie, siedzące od trzech godzin na jednym fotelu, miały minę bezwiednie znudzoną, a jednak znajdowały przyjemność w tej nudzie. W przestankach między dwiema spiewkami, których słuchano jednem uchem, rozmowy wszczynały się i zdawały się być tylko dalszem echem fortepianu. Pan Letellier rozpowiadał, że był w Lugdunie, doglądając wysyłki zamówionych tam jedwabiów; dziwił się przytem mocno, że wody Saony nie łączą się z wodami Rodanu. Pan Guiraud, urzędnik, wygłaszał sentencyonalne frazesa o konieczności poskromienia występku w Paryżu. Otoczono pewnego pana, który znał jednego Chińczyka, i rozpowiadał o nim rozmaite szczegóły. W jednym rogu salonu dwie panie poufnie gawędziły o sługach swoich. W grupie kobiet, gdzie Malignon królował, rozmawiano o literaturze; pani Tissot utrzymywała, że niepodobna czytać Balzaka; Malignon nie przeczył temu, twierdził tylko, że były u Balzaka, nie częste wprawdzie, ale były miejsca dobrze napisane.

— Proszę się uciszyć!—zawołała Paulina.— Będzie grała.

Grać miała owa pani, co to była tak znakomitą pianistką. Wszystkie głowy przez grzeczność odwróciły się w jej stronę. Ale wśród powszechnego milczenia w salonie, słychać było głuche głosy mężczyzn, spierających się w salonku. Pani Deberle zdawała się być w rozpaczy.

— Nieznośni są — szeptała. — Niech już sobie tam siedzą, kiedy nie chcą tu przyjść, ale niechże przynajmniej milczą!

I posłała Paulinę, która uszczęśliwiona pobiegła spełnić polecenie siostry.

— Wiecie, panowie, że mają grać — rzekła ze swą spokojną, dziewiczą śmiałością, strojna w swoją suknię królowej. — Proszę panów, byście umilkli.

Mówiła bardzo głośno, przenikliwym głosem. A że została tam z mężczyznami, śmiejąc się i żartując, hałas przeto wzmógł się jeszcze bardziej. Sprzeczka ciągnęła się dalej. Paulina dowodziła sama, nie ustępując nikomu. W salonie, pani Deberle była jak na mękach. Zresztą miano już muzyki do syta, i obojętnie jej słuchano. Pianistka wstała od fortepianu z ustami gniewnie zaciśniętemi, pomimo przesadnych pochwał, któremi gospodyni czuła się w obowiązku obsypania jej.

Helena cierpiała. Henryk zdawał się nie widzieć jej. Nie zbliżył się do niej więcej. Chwilami uśmiechał się do niej z daleka. Na początku wieczora zadowolniona była, widząc go tak rozsądnym. Ale od chwili, kiedy się dowiedziała o historyi tamtych dwóch, pragnęłaby czegoś, sama nie wiedziała czego, jakiegoś dowodu miłości, chociażby nawet takiego, coby ją skompromitował. Nieokreślona jakaś żądza, zmięszana z rozmaitego rodzaju złemi uczuciami, burzyła się w niej. Może nie kochał już, jeżeli mógł być tak obojętny? Zapewne, czekał stosowniejszej chwili. Ach, gdyby mogła powiedzieć mu wszystko, zawiadomić go o niegodziwości tej kobiety, która nosiła imię jego. I przy cichych dźwiękach fortepianu roskoszne marzenie kołysało ją: Henryk wygnał Julię, a ona pozostała z nim jako jego żona gdzieś w krajach dalekich, których języka sami nie znali.

Zadrżała na dźwięk głosu jakiegoś.

— A pani nic nie je? — pytała Paulina.

Salon opróżnił się. Goście przeszli do sali jadalnej na herbatę. Helena z trudnością podniosła się. Wszystko się jej mąciło w głowie. Sądziła, że wszystko to przyśniło się jej, i słowa podsłuchane i bliski upadek Julii, i występek spokojny, uśmiechnięty. Jeżeliby to było prawdą, Henryk byłby przy niej, oboje opuściliby już byli dom ten.

— Wypije pani filiżankę herbaty?

Uśmiechnęła się, dziękując pani Deberle, która zachowała była dla niej miejsce u stołu. Talerze, napełnione cukrami i ciastami, pokrywały obrus; ciasteczka i bułki, symetrycznie ułożone, stały po bokach, a że mało było miejsca, filiżanki zatem dotykały się prawie, rozdzielały je tylko małe serwetki szare, z długiemi frendzlami. Panie tylko siedziały, końcami paluszków, z których zsunęły były rękawiczkę, jadły ciasteczka i owoce smażone, podając sobie śmietankę, same nalewając ją delikatnie. Trzy lub cztery z nich poświęciło się i usługiwało panom. Ci ostatni, stojąc koło ściany, pili, starając się, o ile można uchronić od mimowolnego trącania łokciem. Inni pozostali w dwóch salonach, czekając, by ciasta przyszły do nich. Była to chwila, w której Paulina tryumfowała. Rozmawiano głośniej, śmiechy i brzęk srebra rozlewał się dokoła, zapach piżma łączył się z wonią herbaty.

— Proszę o ciasto — rzekła panna Aurelia, która siedziała tuż obok Heleny. — Wszystkie te cukry to bardzo lekka rzecz.

Wypróżniła już była dwa talerze. Potem z gębą pełną rzekła:

— Niektórzy odchodzą już.... Będzie dogodniej.

W istocie, panie wychodziły, uścisnąwszy rękę pani Deberle. Wielu mężczyzn wysunęło się ukradkiem. Ci, co pozostali, z kolei usiedli przy stole. Ale panna Aurelia nie ustąpiła miejsca swego. Byłaby chętnie wypiła szklankę ponczu.

— Przyniosę go pani — rzekła Helena, powstając.

— O, nie, dziękuję, niech się pani nie trudzi.

Od chwili już Helena śledziła Malignon'a. Podał był rękę doktorowi, teraz kłaniał się Julii u progu drzwi. Julia, z białą swą twarzą, miała oczy pogodne i uprzejmy uśmiech; możnaby było pomyśleć, że Malignon prawi jej grzeczności o minionym wieczorze. Piotr nalewał poncz przy drzwiach, Helena skierowała się w tę stronę i stanęła, ukryta za fałdem portyery. Słuchała.

— Proszę panią — mówił Malignon — przyjdź pani pojutrze... Będę czekał o trzeciej...

— Nie możesz więc pan na żaden sposób inaczej mówić jak na żart? — odpowiedziała pani Deberle, śmiejąc się. — Czy podobna mówić tyle niedorzeczności!

On naśladował, powtarzając wciąż:

— Będę czekał na panią... pojutrze... Wie pani gdzie?

Ona wówczas prędko szepnęła:

— A więc dobrze, pojutrze.

Malignon ukłonił się i wyszedł. Pani de Chermette wychodziła także z panią Tissot. Julia wesoło przeprowadzała je do przedpokoju, mówiąc do pierwszej z nich z największą uprzejmością:

— Będę u pani pojutrze... Mam mnóstwo wizyt do zrobienia dnia tego.

Helena stała nieruchoma i bardzo blada. Piotr nalawszy poncz, podawał jej szklankę. Machinalnie wzięła ją i zaniosła do panny Aurelii, która gorliwie zajmowała się smażonymi owocami.

— O! jakaż pani uprzejma — zawołała stara panna. — Byłabym skinęła na Piotra... Źle robią, na prawdę, że nie podają paniom ponczu... Kiedy się jest w moim wieku...

Tu przerwała sobie, spostrzegając bladość Heleny.

— Pani słaba, nie ma wątpliwości... Niechże pani napije się ponczu.

— Dziękuję, to nic... Tak wielki upał...

Chwiała się; wróciła do pustego salonu i upadła na krzesło. Lampy czerwonawe światło rzucały; świece w pająku dopalały się tak, że profitki groziły pęknięciem. Z jadalnej sali dochodziły pożegnania ostatnich gości. Helena zapomniała o tem, że ma wyjść ztąd również, chciała pozostać i zastanowić się nad tem wszystkiem. A więc, to nie był sen, Julia pójdzie do tego człowieka. Pojutrze, słyszała to. O! nie będzie się już więcej wahała; myśl ta wciąż wracała do niej. Potem zdawało się jej, że powinnaby przemówić do Julii i uchronić ją przed upadkiem. Ale dobre to natchnienie przerażało ją, więc też starała się usunąć je od siebie. W kominie, na który patrzała, tlejąca głownia trzaskała. Ciężkie, senne powietrze obciążone było wonią włosów.

— Ah! jesteś tutaj — zawołała Julia, wchodząc. — Jakżeś grzeczna, żeś nie wyszła zaraz... Nakoniec można odetchnąć!

Helena zdziwiona chciała powstać:

— Zaczekajże, nie ma nic pilnego... Henryku, podaj mi mój flakon.

Trzy lub cztery osoby pozostały jeszcze; były na poufałej z gospodarzami stopie. Wszyscy zasiedli przed wygasłym ogniem i swobodnie zaczęli rozmawiać, wśród sennej, znużonej atmosfery pokoju. Przez drzwi otwarte widać było pustą salę jadalną; całe mieszkanie, oświecone jeszcze, zapadło w głuche milczenie. Henryk okazywał czułą grzeczność żonie; przyniósł jej flakon, z którego wąchała powoli, zamykając oczy; i zapytywał, czy się nie nadto zmęczyła. Tak, czuła się trochę znużona, ale bardzo była rada, że wszystko się dobrze udało. I opowiadała, że zwykle po wieczorach, które u siebie dawała, nie mogła usnąć i przewracała się w łóżku aż do szóstej rano. Henryk uśmiechał się, inni żartowali. Helena patrzała na nich, przejmował ją dreszcz i senna odrętwiałość, która zdawała się ogarniać dom cały.

Pozostały nareszcie tylko dwie osoby już. Posłano Piotra po dorożkę. Helena pozostała ostatnia. Pierwsza godzina wybiła. Henryk, nie żenując się już podniósł się na palcach i zdmuchnął dwie świece w pająku, palące się za blisko profitek. Jak gdyby wszystko układało się do snu, światła gasły jedna po drugiej, pokój zanurzał się w cieniu.

— Przeszkadzam państwu kłaść się — wyjąkała Helena, nagle powstając.—Wyprawcież mię.

Mocno była czerwona, krew zalewała ją. Przeprowadzili ją do przedpokoju. Ale że tam było zimno, doktor zaniepokoił się o żonę, której stanik mocno był wycięty.

— Wróć do pokoju... Nadtoś zgrzana.

— A więc do widzenia — rzekła Julia, całując Helenę, jak się to jej nieraz przytrafiało w chwilach czułego usposobienia. Odwiedzaj mię częściej.

Henryk trzymał futro Heleny, chcąc dopomódz jej. Kiedy wsunęła już obie swe ręce, on podniósł kołnierz, ubierając ją z uśmiechem przed wielkiem lustrem, wiszącem na ścianie przedpokoju. Byli sami, widzieli się w lustrze. Nagle, nieodwracając się i tak jak była otulona futrem, przychyliła mu się w ramiona. Od trzech miesięcy spotykali się tylko przyjaznem ściśnieniem ręki, chcieli nie kochać się już. Doktor przestał uśmiechać się, twarz jego zmieniła się, płonąc cała. Ścisnął ją gwałtownie i ucałował w szyję. Odrzuciła w tył głowę, oddając pocałunek.

(C. d. n.)

PRZYPADKIEM!

Spotkałem ją raz przypadkiem,
Nad brzegiem strumienia,
Pod niebem jak skroń jej gładkiem,
Modrem jak spojrzenia.
Na czeremchy maj do koła
Puch sypał gołębi,
Dymy ojczystego sioła
Błękitniały w głębi·
Świat się mienił jak obrazek
Ładnego wydania,
Tych czarownych bajek, skazek,
Co je prawi niania
Gaj tętniał pełen rozgłosów,
Kapela wesoła:
Z fletu żółn, z klarnetu kosów,
Z basetli dzięcioła.
Jak w panieńskim budoarze
Kwietnych smugów wonie,
Jakimś czarem, niech Bóg skarze!
Odurzały skronie.
Nie dziw więc, że gdym przypadkiem
Spotkał ją w parowie,
Że gdym spojrzał nań ukradkiem
To mię przeszło mrowie,
Tom ukląkł, tom, Panie Chryste!
Zkąd mi takie śmienie,
Tom jej gładkie potoczyste
Palnął oświadczenie.
Tom jej rzekł, że kochać trzeba,
Że wszystko dokoła
Od łąk, borów, aż do nieba
„Kochajcie się“ — woła.

Ona na to uśmiechnięta,
Nie zmięszana wcale,
Skrzyżowała swe rączęta
Na piersi, wspaniale,
I mierząc mię dumnym wzrokiem
Jak sędzia ofiarę —
W milczeniu z razu głębokiem
Stała chwilek parę,
Poczem chłodno i bez gniewu,
Choć zwięźle i krótko,
(Głos mi jej od ptasząt śpiewu
Czystszą zdał się nutką),
Rzekła: „Młody kawalerze!
Uczuć nie poślubię,
I afektom nie uwierzę
Aż, chyba, po próbie.
Oto strumień. Nie głęboki!
Błotnisty potrosze:
Tam, napowrót, we dwa skoki
Przesadzić go proszę.
Nie taję mu mych pobudek,
Na przeciwnej stronie
Do tych ślicznych niezabudek
Nie sięgną me dłonie;
Chciałabym ich mieć wiązankę.
Znasz kobiet kaprysy?
Rwąc więc kwiat, uszczkniesz kochankę
Otwarte popisy!“

A strumień ów miał średnicy
Dwa sążnie na oko,
Nic może dla latawicy
Dla mnie? Za szeroko!
A strumień miał brzegi strome;
W tamten, kwiatem kryty,
Wlepiwszy oczy łakome
Stałem gdyby wryty.
Lecz gdym kwapił się z protestem,
Z perswazyi wymową,
To ona przeczącym giestem
Odjęła mi słowo,
I tam pokazując kwiaty
Tutaj pierś swą białą,
Szepnęła mi: „Skacz skrzydlaty!
Czekam cię. Skacz śmiało!“
. . . .
. . . .
. . . .
. . . .

Cóż chcecie? Nie było rady,
Miłość a wstyd znowu
Sprawiły, iż, chociaż blady,
Podbiegłem do rowu.
Tam. Nic jeszcze. Los mię szczędzi.
Wytężając siły,
Do przeciwległej krawędzi
Stopy me odbiły.
Lecz nazad, z tych kwiatów pękiem,
Bez ruchów swobody,
Nie mogłem. I z głuchym jękiem
Buch! . . . .
. . . .
Wpadłem do wody!

Ilem minut, wieków wiele
Leżał tam w rozpaczy,
Splątany w podwodne ziele?
Bóg to wiedzieć raczy!
Co strąceni aniołowie
W otchłani cierpieli,
Tom ja w dubelt, w moim rowie,
W chłodnej zniósł kąpieli.
Była chwila, wyznać muszę,
Żem myślał w istocie
Samobójstwem splamić duszę
Nurka dając w błocie.
Żem błagał brzegów strumienia,
By nad mojem czołem,
W smętne mogiły sklepienia,
Zrosły się już społem!
Aż gdy wreszcie po rozwadze,
(Wcześniej by rozwagi!)
Odzyskałem w członkach władzę,
W sercu skrę odwagi,
Gdym się dźwignął, gdym z mej toni,
Wybrnął na ląd stały,
Jak bożek wód w przykrej woni
Umazany cały.
Kiedym ku niej, ku skrzydlatej,
W zabłoconem ręku,
Chciał wyciągnąć sine kwiaty,
Resztki z mego pęku,
To ujrzałem ją z daleka,
Na drodze do sioła
Jak łamiąc słowo ucieka
Rzeźka i wesoła.
To mię jej piosneczek nuty.
Przeplatane śmiechem
Drwiącym do miejsca pokuty
Doleciały echem.

Czas leci, i od tej chwiii
Zbiegło go nie mało,
Sporo bąków moi mili
W życiu się splatało,
Sporo rozczarowań seryo,
Kozłów nie na żarty,
Życia tego, o mizeryo!
Wykazują karty.
Cóż powiecie? Ten dziecięcy
Niewinny, głupiutki,
Utkwił w myśli mi najwięcej,
Najlepsze miał skutki.
Bo odtąd kiedy poczuję,
Że mi się do serca,
Niech ją Pan Bóg sekunduje,
Chęć romansów wwierca,
Wnet spieszę do mej izdebki
Z pod straży dwóch kłódek,
Z starej wyjmuję torebki,
Garstkę niezabudek,
Patrzę na nią szczyptę prochu,
Rozbudzam wspomnienia,
Wnet przedemną się w popłochu
Przeszłość odzielenia,
Widzę wszystko, jako było
Obrazek ot cały,
Z dawniejszą odczuwam siłą
Dawniejsze me szały,
Słyszę głos jej jak mi dzwoni:
„Skacz! Miłość poślubię!“
Skaczę. Buch! . . . . . .
. . . .
. . . .
. . . . I w błotnej toni
Chęć romansów gubię!

J. S. Chamiec.

MONACHOMACHIA

przez

PIOTRA CHMIELOWSKIEGO.

Lat temu sto, jak pojawiła się książeczka z wyobrażeniem satyra i podpisem IIAN, której tytuł brzmiał równie zaciekawiająco jak niezwykle: „Monachomachia czyli wojna mnichów“..... W tym samym roku, w którym umarł Wolter i w którym wyszła niedołężna broszura wymierzona przeciw temu słońcu XVIII wieku, a tłómaczona z francuskiego przez akademika Andrzeja Trzcińskiego, w tym samym roku wychodzi pismo natchnione po części wpływem mędrca z Ferney, a stanowiące gwałtowną sprzeczność z półtorawiecznym nastrojem literatury polskiej. Autor śmiało i bez ogródki wyprowadza na jaw całą sromotę życia klasztornego i tem samem zadaje cios silny jednej z instytucyi kościelnych... Od połowy wieku XVII, kiedy ortodoksya katolicka spętała ostatecznie swobodny rozwój pojęć religijnych, unicestwiwszy znaczenie dysydentów, objęła u nas rządy nad myślami teokracya i w potężnych trzymała je okowach. Ukształceni nietylko nie śmieli ale nawet nie mogli przekraczać szranek zakreślonych katechizmem, gdyż podejrzenie samo o zamiar podobny pociągało za sobą pogróżkę takiego losu, jaki rzeczywiście dosięgnął Łyszczyńskiego. Szlachcic polski mniej dbał o swobodę myślenia w zakresie nauki i religii, aniżeli o swobodę worka, bo gdy o tę chodziło, nie wahał się zaczepić księdza zarówno słowem jak i szablą. Wyższe duchowieństwo posiadało dobra ogromne, a często bardzo usuwało się od ponoszenia ciężarów publicznych; wtedy szlachcic nie mógł tego ścierpieć i rwał się nieraz do korda. Duchowieństwo brało dziesięcinę, która nieraz bardzo dokuczała bratu szlachcicowi; i wtedy także nie żałował gęby i ręki... Myśl swoją atoli, ten swój „czerep rubaszny“, jak go Słowacki nazwał, szlachta składała pokornie na ołtarzu i rada bardzo, że ambaras badania na niej nie cięży, wierzyła we wszystko, co jej do wierzenia podawano, zarówno w św. Trójcę, jak w cudowność jakiego obrazka, który w interesie swego klasztoru zakonnicy za cudowny ogłosili, zarówno w dogmata jak i we wszelkie obrzędy, a nawet więcej w obrzędy aniżeli w dogmata. Widziano wprawdzie rozpustnych i przedajnych dostojników kościoła, ale po chwilowym gniewie, schylano pobożnie głowę przed „suknią kapłańską“.

Szanowano święte pozory, nie wglądano pilnie w postępowanie i czyny duchowieństwa, mówiąc sobie, że należy je poważać za to co mówi, a nie gorszyć się tem, co robi.

Krytyka rozpoczęła się dopiero z napływem oświaty francuskiej, z rozbudzenia świadomości narodowej, która w bezrozumnych orgiach saskich zasnęła snem... nie błogosławionych, ale odurzonych. Nie potrzeba tu przypominać, jak silną, jak namiętną była opozycya myślicieli francuskich od początku XVIII wieku przeciw fanatyzmowi i ciasnocie pojęć ówczesnej ortodoksyi. Rozprawy, poemata, tragedye, wiersze ulotne, słowa poważne i słowa lekkie jako grad spadały na tych, co nieruchomość myśli albo wirowanie w szczupłem i ściśle określonem kółku, za cel ukształcenia umysłowego ogłosili.

Opozycya ta z biegiem czasu przeszła i do Polski, a gdy potężny i wielce wpływowy zakon Jezuitów runął obalony przez najwyższą głowę kościoła, w najortodoksyjniejszej nawet głowie mogła zrodzić się myśl, że „szata kapłańska" nie koniecznie sama przez się godna jest szacunku, że pojedyńczy członkowie i całe zgromadzenia duchowne mogą a nawet powinny ulegać kontroli, krytyce, nakoniec i — karze. Ślepa wiara w ustalony porządek rzeczy zaczynała się zwolna zachwiewać, a bezwarunkowe zaufanie do religijnych przewodników — słabnąć.

. . Wśród takiego usposobienia, równocześnie pojawia się w dwu umysłach chęć wyjawienia tych nowych dążności, chęć zaznaczenia, że i kościelne także instytucye, podobnie jak inne, ulegać muszą ogólnemu prawu oceny publicznej. Młodziutki szambelan króla Stanisława, Węgierski i przeszło czterdziestoletni biskup warmiński piszą żartobliwe poemata—o duchownych. Pierwszy w „Organach" wyśmiewa wygodne próżniactwo, ciasnotę umysłu i kierowniczą nieudolność proboszczów; drugi zagląda w „Monachomachii" do zacisza klasztornego. „Organy" znano w 1778 r. tylko w rękopiśmie, a druk rozpowszechnił je później dopiero. Monachomachia wydrukowana została od razu i doznała nadzwyczajnego powodzenia.

Opowiada Dmochowski, że Fryderyk II dał Krasickiemu w „Sans-souci" tenże sam apartament, w którym niegdyś mieszkał Wolter, mówiąc, że książę biskup w takiem miejscu powinienby być natchniony i coś pięknego napisać. Wynikiem zachęty tej miała być Monachomachia. Anegdota ta jest i prawdopodobną, bo wspomnienie Woltera, pomimo przykrych zajść, było pamięci Fryderyka zawsze obecne, i charakterystyczną zarazem, bo od razu wskazuje pewną analogię pomiędzy satyrycznemi wycieczkami filozofa fernejskiego a poemacikiem biskupa Warmińskiego. Wprawdzie Krasicki jako wzór poematu żartobliwego miał przed sobą „Pulpit" Boileau'a i czasami naśladował go wyraźnie; duch atoli, przenikający cały utwór, cechował się częściej gorzką satyrycznością Woltera, niż swobodnym uśmiechem pisarza z czasów Ludwika XIV.

. . . .

Na samym zaraz początku smutny obrazek ówczesnych miasteczek naszych, które poeta „zbiorem pustek" nazywa. Cóż w nich znajdujemy? Jakieś stare zamczysko w ruinie, trzy karczmy, cztery ułamki bram, gdzieniegdzie domki a klasztorów... dziewięć. Otóż i pierwsza goryczy pełna antyteza... naokoło zniszczenie, bieda materyalna, a w środku najporządniejsze, murowane domy dla tych, co sami nie pracując, żywią się z pracy biedoty. Ogromna liczba istot nieprodukujących żadnej materyalnej wartości, równie charakterystyczna dla dawnej Polski jak dla Hiszpanii, już sama przez się razi nas niezmiernie, bo choćby oni nawet wytwarzali jakąś wartość moralną, zawsze stosunek byłby za wielki. A jeżeli tej wartości moralnej nie wytwarzają?...

W wiekach średnich zakonnicy byli krzewicielami kultury i przechowawcami oświaty: uczyli ludzi uprawiać ogrody, wykonywać rzemiosła proste, czytać, pisać, malować, cenić naukę, sztukę i literaturę. Albo też klasztory były to przybytki rozmyślania, skupienia ducha, modlitwy, surowego życia, oddzielone od wiru barbarzyńskich zabaw, hucznych biesiad, rozpustnej hulatyki; przybytki, do których chroniły się umysły pragnące spokoju i ciszy, nie wymagające od świata nic oprócz zapomnienia. Taki był zamiar tych, co je zakładali i zamiar ten spełniali zakonnicy przez czas pewien z chwałą i zasługą... Czas ten już dawno minął, a biskup Warmiński patrzył na zupełnie inne usposobienia i pragnienia. W poemacie swoim nie mówi on o takich stosunkowo nielicznych zakonach, które się nauczaniem młodzieży zajmowały, ale sięga tam, gdzie istotnie złe się rozpanoszyło, bierze na oko zakony „bogomyślności" tylko poświęcone. Ślubowały one ubóstwo, czystość obyczajów, udoskonalenie i uduchowienie życia.. A tymczasem rozsiadło się w nich od wieków „wielebne głupstwo", które czcicieli swoich doskonale „utuczało". Próżniactwo i ospalstwo, pijatyka i „pobożne" stosunki z dewotkami, ciemnota i zabobonność panowały tam bez podziału. Wielebny ksiądz przeor, którego hałas w klasztorze dominikańskim obudził, „pierwszy raz w życiu jutrzenkę zobaczył", a pytając się o powody zamięszania, nie może innych przypuścić prócz następnych:

> Cóż to za rozruch u nas niesłychany,
> Czy do piwnicy wkradli się złodzieje?
> Czy wyschły kufle, gąsiory i dzbany?

Jego zdolność rządzenia klasztorem zasadza się na tem, że umie pić doskonale i nie da się nikomu w tym względzie przewyższyć, jego zapobiegliwość względem braci objawia się w tem, że od „przeoryszy" dostaje spore zapasy pierników toruńskich i sucharków masą cukrową oblanych. A jego podwładni, te „dzieci kochane Morfeusza", napiwszy się i najadłszy, nie są zdolni do wysłuchania z uwagą cokolwiek dłuższej mowy, i podczas niej snem błogim usypiają; oni zdolni są tylko do jednego — do tęgiego picia. Ojciec Hilary, karmelita, nazywa ich „kuflowemi filarami" i nie radzi wyzywać się do walki na kufle.

> Nie zdołasz wzruszyć gmachów starodawnych...
> Znam ja ich dobrze, zna ich brat Antoni,
> Pijemy dobrze — ale lepiej oni!...

Jest to świadectwo znawcy.

Dominikanie — to zakon kaznodziejski *par excellence*, mający potęgą wymowy wpływać na poprawę obyczajów, na ugruntowanie wiary. Istotnie Sadok Barącz dał nam spis paruset nazwisk, zapisanych na jakiejś księdze lub broszurze, ale przeciętnie biorąc, księgi te są albo mistycznej albo panegirycznej treści a w dodatku liche, i autorom swoim wcale nie zapewniły zaszczytnego miejsca w historyi umysłowości naszej. Krasicki też z wielką trafnością dał nam próbkę tej wymowy w sławnym głosie ojca Honorata:

„Pisze Chryzyppus o Alfonsie królu" i td. w którym niedorzeczność i napuszoność łączy się najściślej z elementarnemi błędami historycznemi. W wydaniu Monachomachii z roku 1778 są noty, prawdopodobnie pisane przez samego Krasickiego, w których autor dla ówczesnych czytelników dobitniej jeszcze, niż w tekscie, ciemnotę bohaterów swoich wskazywał. Otóż do owego sławnego głosu dodał on takie objaśnienie: „Podług ojca Honorata, Chryzyp, filozof, żyjący przed Chrystusem pisał historyą o którymkolwiekbądź Alfonsie, żyjącym zapewnie (z pewnością) po Chrystusie. Alfons wojował z Baktrynami, narodem będącym jeszcze za czasów Aleksandra W. Z Hiszpanii przeniósł plac wojny do Licyi, prowincyi azyatyckiej; zapewnie wojsko płynęło przez piaski abisyńskie albo morze piaszczyste, a Alfons gryfami zajechał do rzeki Paktolu. U ojca Honorata Maury i Baktryanie są jednym narodem. Można się domyślać, że albo ojciec Honorat wiele czytał i pomięszały mu się w głowie wiadomości, albo że się usadził na to, aby pokazać, że nic nie umiał historyi, chronologii i geografii"... Taki był reprezentant zakonu kaznodziejskiego.

Nie świetniej przedstawił się i jego przeciwnik — zakon Karmelitów. On właściwie przypadkowo chyba zajmował się u nas nauką i nawet liczbą nazwisk literackich może zaimponować. To też Krasicki doskonale stan ten charakteryzuje, gdy powiada, że u Karmelitów wiedziano z „dawnej powieści" o istnieniu biblioteki, która gdzieś tam pod strychem się mieściła".

> „Był tam brat Alfons, lat temu trzydzieści,
> I z starych książek poodzierał wieka".

Co więcej, wstręt do książek był u nich tak wielki, że żaden z ojców nie chciał się podjąć szukania biblioteki, więc trudne to zadanie powierzono „osłom domowym", t. j. aptekarzowi i krawcowi. Ci na rozwalinach baszty starożytnej w spróchniałym lamusie znaleźli przecie jakieś stare szpargały, grubą warstwą kurzu pokryte.

Skutkiem tak niewybrednej uprawy umysłu, ojcowie Karmelici wierzyli wprawdzie w zabobony i prognostyki — ale zarazem cieszyli się łaskami u płci pięknej, bo odznaczyły ich „wdzięki rubaszne i hoża uprzejmość". Zarówno ojciec Rajmund, który przeczuwa nieszczęście, gdy wychodząc z celi zgubił pantofel, jak i kształtny, wysmukły, okazały Hiacynt u swojej Dorotki miłe przepędzali chwile...

Nie dziwmy się...

> W szyszaku, w czapce, w turbanie, w kapturze,
> Wszyscyśmy jednej podlegli naturze..

Dewotka umiała być przyjemną i zręcznie podtrzymywała rozmowę, którą rozpoczynając od historycznych wypadków matki d'Agreda, od upiorów i strachów, umiała urozmaicić nowinkami o wszystkich przygodach mieszkańców miasteczka.

> Postać jej wdzięczna; oczy choć spuszczone,
> Przecież niekiedy błyszczą się jaskrawie:
> Choć w świętej mowie, słóweczka pieszczone;
> Krył się subtelny kunszt w skromnej postawie.
> Westchnienie, wolnym jękiem powleczone,
> Umiała mieścić w potocznej zabawie.
> Muszki z różańcem, wachlarz przy gromnicy.
> Przy Hyacyncie — głos synogarlicy.

Takie były dwa ze sobą walczące obozy. Zwarcie się ich odkryło nam siłę i niemoc zapaśników. Zaczęli od scholastycznej dysputy, strze-

lali do siebie dyalektycznymi argumentami; ale bardzo prędko musieli tę broń porzucić, nie dla tego, że była stara i zardzewiała, nie dla tego, że ją w ucywilizowanej Europie od dawna już do muzeum archeologicznego złożono, ale dla tego, że nawet i taką bronią szermierzyć już nie potrafili. Oni umieli już tylko wysmażyć w swej mózgownicy, przy obfitej pomocy wyziewów alkoholowych, jakiś panegiryk, w którymby mecenas był przyrównany do ptaka, do dziwotworu i do statku weneckiego, jeżeli miał się w umyśle słuchaczów jako wielki bohater przedstawić...

A więc po krótkiej dyspucie musieli się chwycić argumentu ostatniego, ale dotykalnego, poszli na pięście.. Siła muskułów musiała wynagrodzić słabość masy mózgowej. Przyznać im jednak potrzeba jedną zaletę. Pomimo krewkiego animuszu swego, pomimo gorącej fantazyi, pomimo rozbudzonej namiętności, którą zawiścią nazywają, umieją oni być zgodni... jeśli tylko powód do zgody będzie słuszny i rozumny. Czyżby go znaleść było niepodobieństwem? Czyżby do tych głów kurzących się „tumanem mądrości", czyżby do tych ust mięsistych i rumianych, czyżby do tych ciał tłustych i pulchnych nie przemówił żaden pojednawczy argument? Nie! pojednawczę tego znały wybornie czasy saskie, które bardzo go często potrzebowały. Znalazł się on i w klasztorze. Był to puhar, w który wlewano garniec wina od razu.. Taki pojednawca zawsze trafi do serca:

Co niegdyś w Troi był posąg Pallady,
Co w Rzymie wieczne Westalskie ognisko,
Tem był ten puhar, czczony przez pradziady,
Starożytności wdzięczne widowisko...

On też i wśród mnichów pokój dawny przywrócił; on sprawił, że ani jeden, ani drugi zakon nie myślał przypisywać sobie pierwszeństwa w nauce, uważając taką kwestyą za rzecz niewartą uwagi. Czyż nie lepiej w spokoju i zgodzie zjeść dobrze, wypić po staremu, i wyspać się dowoli, nie zaprzątając głowy jakiemiś myślami, które sen i apetyt odbierają?...

„Próżność nauką! najszczęśliwsi — głupi".

Mimowoli przypomina się opat Cystersów, Mikołaj Wyżycki, znany powszechnie pod przezwiskiem *sitio* (opój), o którym Bizardiére powiada, że wino wsławiło go więcej niż opactwo, więcej niż wysoki urząd koronny (był sekretarzem W. K.) więcej niż rodzina...

Chociaż Monachomachia wyszła bezimiennie*), wszyscy jednakże odgadli autora, bo nikt naówczas nie pisał stylem tak lekkim i żartobliwym, nikt z taką swobodą wierszy nie „odlewał", nikt zręczniej ostrzem satyry nie władał nad księcia biskupa Warmińskiego. Wrażenie sprawione tym utworem było tem silniejsze i donioślejsze, że autor sam był duchownym, dostojnikiem kościoła... Byli naturalnie i tacy, co mu za złe wzięli targnięcie na „szatę kapłańską", choć żartem tylko; ale większość inteligencyi była za postępowym biskupem, a uznając trafność charakterystyki i wdzięk wykonania, poemacik za arcydzieło poczytała, uczyła go się na pamięć, przy każdej sposobności powtarzała jakiś wyjęty z niego docinek i naśladowała... Monachomachia miała trzy wydania w samym XVIII wieku; po niej wyszła *Antimonachomachia*, a następnie *Asketomoria* nieznanego autora, wymierzona przeciwko mniszkom, która także miała drugie wydanie pod zmienionym napisem: *Sejm fartuszkowy*. W tymże wieku generał Jasiński tworzył lekkie ale dotkliwe powiastki rymowane, kolące i szczypiące duchowieństwo zarówno świeckie jak i zakonne.

Znaczenie to Monachomachii w dziejach walki z zastarzałym zwyczajem uznał umysł nawet tak poważny, tak matematyczny jak Jana Śniadeckiego, który w rozprawie „O logice i retoryce" powiedział, że poemat ten wyszedł w najlepszej porze i najwięcej pomógł usiłowaniom Komisyi edukacyjnej i pracom Akademii krakowskiej.

Dopiero w dobie reakcyi europejskiej, kiedy umysły skołatane burzami rewolucyi francuskiej skłonne były szukać spokojnego portu w religii, w obrzędowości nawet, wówczas i poemacik Krasickiego uległ srogim zarzutom, tak dalece, że fanatycy, którym trudno było przełknąć zdanie, że autorem Monachomanii był biskup, co został później arcybiskupem gnieźnieńskim, uciekli się do sofizmatów, ażeby zetrzeć plamę z nazwiska duchownego..... Umysły wolnomyślne, chcąc oddziaływać przeciw obskurantyzmowi, który pod pokrywką religii w zacofanym obozie propagowano, chętnie naówczas zasłaniali się nazwiskiem Krasickiego. Oprócz wydań zbiorowych, pojawiła się wtedy Monachomachia oddzielnie. Leon Borowski, profesor uniwersytetu wileńskiego, napisał szczegółowy rozbiór pierwszej pieśni, a minister oświecenia w Królestwie Polskiem, Stanisław hr. Potocki, pisząc swoję „Podróż do Ciemnogrodu," która bardzo śmiało a nieraz dowcipnie ścigała fanatyzm i obskurantyzm fanatyków, również do przykładu arcybiskupa się odwołał, świętym go nazywając. Wtedy to znany żarliwiec, ksiądz Karol Surowiecki, w broszurze p. n. „Świstak Warszawski wyświstany" (str. 56) taką Potockiemu wypalił perorę: „Nie zapieram, że imię tego prałata, niegdy znanego mi z osoby, mogło z inszych względów tytułować się „świętem," ale zkąd nam dowiedzie Świstak, iż ten prałat autorem wymienionych paszkwilów, które od początku do dziś dnia, przynajmniej z jego strony, kursują bezimiennie? Pewnie się na tem zasadzi: tak ludzie gadają, tak wiemy, tak zatwierdza publiczność.... Żartuję ja z takiego gatunku demonstrancyi w czasach, gdzie weszło w modę pod najcnotliwsze imiona podszywać najzłośliwsze gryzmoły. Tak robił Wolter, tak Rousseau, czemuż nie który z naszych narodowych *półgłówków?...*"

Dzisiaj do takich grubych sofizmatów nie pozwalają sobie uciekać się nawet fanatycy; dzisiaj zgadzają się z tą myślą, że jednostki chociażby duchowne, chociażby dostojne, mogły błądzić; chcą więc jedynie ocalić honor zgromadzeń... W roku bieżącym Stanisław Strojnowski, pisząc artykuł o Krasickim do Encyklopedyi Kościelnej, woli być niesprawiedliwym względem jednego biskupa, aniżeli przyznać, że niektóre klasztory w XVIII. wieku nie spełniały już tych posług, dla których je założono. Robi on Krasickiego potwarcą, dodając, że nie tylko biskupowi, ale nawet świeckiemu katolikowi nie godziło się napadać na stan Bogu poświęcony. W końcu daje pośmiertne monitum, że należało Krasickiemu użyć swej biskupiej władzy i naprawić co było złem w klasztorach a nie szydzić z nich, przyczem autor monitum zapomniał, że nad klasztorem naówczas biskup nie miał władzy, gdyż one zależały jedynie od juryzdykcyi swoich prowincyałów i generałów... Na takie i tym podobne zarzuty, które w zamiarze tych co je wygłaszają, skierowane są przeciw jakiejbądź krytyce duchowieństwa, nie ma lepszej odpowiedzi, nad tę, którą dał już sam Krasicki:

Szanujmy mądrych, przykładnych, chwalebnych,
Śmiejmy się z głupich, choć i przewielebnych!...

---

*) Zazwyczaj podają bibliografowie, że pierwsze wydanie nie ma oznaczonego roku: niektórzy historycy literatury nie wiadomo na jakiej zasadzie rok tego wydania mienią rokiem 1775; zdaje się jednak, że jeżeli nie było ono późniejszem od wydania w r. 1778. to może je na kilka ledwie miesięcy poprzedziło, gdyż Węgierski dedykujący „Organy" swoje Krasickiemu dnia 22. stycznia 1777 r. byłby wspomniał i Monachomachią, tak jak wysławiał tamże Myszeidę i Doświadczyńskiego. Ostatnie wydanie wyszło we Lwowie w Bibliotece Mrówki.

RUTENCY

TYPY I PORTRETY GALICYJSKICH „LUDZI".

II.

Człowiek zwyczajny.

— A, jak się pan miewa, panie Maryanie!

— Dziękuję! Ujdzie! A pan jak!

Pan Maryan, z którym właśnie witałem się po dość długiem niewidzeniu, był od kilku lat moim, acz nie bardzo bliskim znajomym. Poznałem go w górskiej wiosce L., gdzie spędzał wakacye u swego brata, pisarza gminnego i właściciela realności tamże. Bawiąc parę tygodni w L., odludnej, górskiej wioszczynie, zmuszony byłem prawie zabrać znajomość z p. Maryanem, jako jednym z niewielu „inteligentnych ludzi" w całej okolicy, z którymi człowiek, nie zmuszony dzień w dzień zajmować się pracą fizyczną, wieśniaczą, mógł pogadać, przejść się lub zagrać partyę preferansa. A że właśnie wtenczas wstępowałem w ten peryod życia, kiedy skłonność do obserwacyi ludzi, do wiązania ich mowy i czynów z ich myślami, charakterem i temperamentem zaczyna najsilniej się rozwijać, nie dziw więc, że i pan Maryan zwrócił na siebie moją uwagę.

Należał on do tych ludzi, których zwykle powierzchowna klasyfikacya nazywa „zwyczajnymi." Ni odzieżą, ni głosem, ni powierzchownością, ni przyzwyczajeniami, niczem w ogóle nie wyróżniał się ten człowiek z pośród masy tych ludzi, których widujemy, z którymi rozmawiamy, prawadzimy interesa dzień w dzień, i po których zatem zostaje w naszym umyśle całkiem niejasne, szare, bezbarwne wrażenie. Z tego też powodu staramy się wyrazić to wrażenie takiem słowem, któreby przy mojej niby zrozumiałości jak najmniej miało znaczenia, i mówimy: „no co, całkiem zwyczajny człowiek."

I mnie też z początku ani w głowę nie przyszło analizować pojęcie „zwyczajnego człowieka," tak silnie zrosło się ono u mnie z pewną grupą niejasnych wrażeń. I pana Maryana zaraz po pierwszej z nim rozmowie podciągnąłem pod tę rubrykę; tak mdłą, nieinteresującą i banalną była ta rozmowa. Dopiero jeden, wcale nieszczególny i także codzienny wypadek, którego byłem świadkiem, zdarł odrazu zasłonę z mych oczu i spowodował mię do uważniejszego analizowania tej masy nieznacznych faktów, którą obejmujemy nazwą „zwyczajne rzeczy." Wypadek, o którym mówię, był taki:

Raz jakoś wieczorem, idąc ulicą wzdłuż wsi, mijałem chatę, zamieszkaną przez Maryana

i jego brata. Stała ona tuż koło drogi, odgraniczona od tej ostatniej głębokim rowem, przez który prowadził mostek z jodłowych okrąglaków. Przed wchodem stały dwie stare wierzby kosmate, zakrywając prawie całkiem biedną, szczupłą chatkę, niczem nie różniącą się od innych wiejskich chat. Ze wnętrza dolatywały mych uszu urywane, bardzo dobitnym i gniewnym głosem wymawiane wyrazy:

— A kiedyżbo mnie się należy! — słychać było głos Maryana.

— A kiedyżbo ja nie mam — odpowiadał jego brat.

— A mnie co do tego, ja przecież muszę mieć!

Brat milczał.

— Sprzedaj krowę, masz ich przecież dwie, — mówił Maryan.

— Ależ człowiecze, czemże będę żył w zimie? Tyle mego wszystkiego dostatku!

— O, tak, ty sobie będziesz tutaj używał, a ja tam we Lwowie z głodu ginę!

— Używał! — podchwycił brat Maryana boleśnie dotknięty — używał! — Zamilkł na chwilę, potem dodał: Niech ci tego Bóg nie pamięta, obyś nigdy nie został skazany na takie używanie jak moje!

— E, ty już w uczucia leziesz, Boga przyzywasz, ale nie, bratku, nie okpisz malowanymi lisami. Znamy się na tem!

Suchy, szyderczy śmiech Maryana obił się o moje uszy. Uciekłem, nie chcąc słuchać dalej tej przykrej rozmowy. Pomimo, że zaledwie od kilku dni znałem Maryana — serce mi jakoś boleśnie ścisnęło się, uczułem coś, niby gorzkie rozczarowanie.

— Hm, a ten człowiek wydawał się taki łagodny, spokojny, cichy — a on, ot co! Dziwna rzecz!

Gdy na drugi dzień spotkałem się z Maryanem, był on znowu, jak zwykle, uprzejmy, łagodny, zgodny, zwyczajny człowiek. Lecz teraz mnie już było za mało tego oznaczenia — mój umysł, podrażniony wczorajszą sceną, pracował, porównywał, rozbierał każde słowo, każdy gest Maryana, i zagadka „zwyczajnego człowieka“ powoli, powoli rozjaśniała się przedemną.

Przedewszystkiem zauważałem, że wszelkie na wsi tak naturalne rozmowy o polityce, literaturze lub naukowych pytaniach strasznie nudziły Maryana. On słuchał ich nie inaczej, jak tylko przez grzeczność, a skoro nadarzyła się sposobność, uciekał. Dalej spostrzegłem, że do kart, szczególniej do gier hazardowych ma Maryan nieprzyzwyciężony pociąg i że nad kartami bez znaku znużenia może przesiedzieć całą noc. Widziałem, jak przy zielonym stoliku twarz jego ożywiała się, jak powoli przychodził mu dar mowy, który w zwykłym stanie był bardzo ubogi. Za zielonym stolikiem Maryan zapalał się, chociaż ni twarz jego ni głos nie zdradzały wewnętrznej gorączki; zdradzał ją tylko niezwykły blask niewielkich szarych oczu i nerwowe drżenie rąk. Częstokroć, stojąc za krzesłem Maryana i przypatrując się jego drżącym rękom, męczyłem się pytaniem: co też za ogień wre we wnętrzu tego człowieka? Późniejsze fakta i spostrzeżenia dały mi i na to pytanie odpowiedź.

— Jakże się panu powodzi we Lwowie? — spytałem go jakoś raz w toku rozmowy.

— Ujdzie—odpowiedział. — Ostatniego roku miałem dwie dobre lekcye — można było wyżyć porządnie.

— No, a brat wspiera pana czemkolwiek.

— A, musi—odpowiedział on.— Wprawdzie każdego razu kręci się i wije, że nie ma zkąd, ale to wszystko tylko finty. Ja sobie nie dam zamydlić oczu.

— No, a może w istocie nie ma zkąd — zarzuciłem. — Przynajmniej jak z boku widać: chatka mizerna, pola mało, odzież na nim wcale nie żeby tam... tego.

— E, a mię to co obchodzi! — On tu przecie pisarzem na trzy gminy — może z chłopów drzeć, co wlezie, a ja tam z kogo udrę.

Zrobiło mi się jakoś zimno, gdym posłyszał te cyniczne słowa, wyrzeczone z takim spokojem, z taką prawie dziecinną obojętnością, jak gdyby „darcie“ było w pojęciu Maryana czemsić tak naturalnem i koniecznem, jak oddychanie lub jedzenie.

— No — odrzekłem — o ile się zdaje, nie wiele tu z tych chłopów i udrzeć można, wszystko tu tąkie ubogie i nędzne, że aż strach.

— E, nie bój się pan — kto zechce udrzeć, to i z gołej lipy łyka nadrze!

Przy tem pan Maryan skrzywił usta, jak gdyby chciał powiedzieć: Co to gadać tak, siak; tylko chcieć trzeba, a wszystko pójdzie! Nie potrzebuję wspominać, jakie wrażenie wywarła na mnie ta krótka rozmowa.

Innym razem zgadaliśmy się jakoś o lwowskich kolegach Maryana, z których kilku znałem z dawniejszych lat.

— Znasz pan przypadkiem M.? — spytałem Maryana.

— O, czemuby nie! Jeszcze mi dotychczas winien 5 guldenów — trzeba będzie go pilnować, skoro przyjedzie, by mi oddał.

— Nie wiem, czy nie ma tam we Lwowie pewnego K. — dawnom już widział tego człowieka, a radbym się z nim zobaczyć.

— To student, Antoni K.? — spytał Maryan.

— Tak jest.

— O, znam i jego! Także mi winien już od pół roku 10 guldenów; jużem ręką machnął na nie.

Pytałem po kolei jeszcze o kilku i wszyscy prawie byli znani Maryanowi; wszyscy prawie byli mu coś winni, ten dziesięć, ten pięć guldenów, ten mniej — do kilkudziesięciu centów.

— Cóż to — spytałem zdziwiony — to pan chyba zajmuje się wypożyczaniem pieniędzy?

— A tak trochę, jak się trafi, rozumie się na dobry procent.

I znowu zrobiło mi się zimno. Urwałem rozmowę, chociaż sam wiedziałem, że nie było w tem nic nadzwyczajnego, i że w każdem prawie gimnazyum są studenci, z urzędu zajmujący się pożyczaniem pieniędzy, uzyskanych z lekcyj, kolegom; rozumie się na „dobry procent.“ A pan Maryan — nie wiem czy wspomniałem już o tem — był wówwczas studentem gimnazyalnym, który ukończył piątą klasę, i liczył przeszło szesnaście lat!

Powoli tylko wyjaśniała mi się zagadka temperamentu Maryana; a przedewszystkiem raził mię ten kontrast jego młodego wieku i tego spokojnego cynizmu, tej tak silnej w samym już zawiązku swym febris aurea, jaka przejawiała się w jego mowie i postępowaniu. Czem stanie się później ten człowiek, kiedy gorączka owładnie całym jego mózgiem, kiedy żądza zysków i złota rozwinie się w całej pełni? Pytanie to mimowoli nasuwało mi się zawsze, gdym wspomniał o Maryanie.

Lecz dopiero gdy skończyły się wakacye i my z Maryanem powróciliśmy do Lwowa, miałem sposobność widzieć naocznie, do jakiego stopnia silną była już w nim ta gorączka. Całymi dniami biegał on po mieście, szukając bądź to lekcyi, bądź to „łapiąc“ swych dłużników. Można go było spotkać na najrozmaitszych ulicach, i ciągle w pośpiechu, ciągle dążącego którędyś z wytężonym wzrokiem, jak gdyby od jego wcześnego przybycia zależały Bóg wie jakie ważne sprawy.

— Co słychać, panie Maryanie?

— Dobrze, dobrze; tylko przepraszam; nie mam czasu!

— Dokąd że tak spiesznie? Co pana pędzi?

— Padam do nóg! Padam do nóg; muszę spieszyć.

O ile mogłem zauważać; szkoła i szkolne zajęcia wcale mu nie smakowały, i przez cały czas mojej z nim znajomości nie słyszałem od niego ani jednej wzmianki o szkole, profesorach lub nauce. Ciągle był zajęty sprawami pieniężnemi lub lekcyami. Wspominał nieraz, że byle mu tylko trafiła się lekcya na wsi, zapisze się na „prywatkę“ i pojedzie na wieś; a potem przystanie do wojska. Wtem nagle przestałem go widywać. Pytam jego kolegów: od tygodnia nie chodzi do szkoły. Pytam w jego pomieszkaniu: od tygodnia wyjechał gdzieś na wieś. Dokąd? nie wiedzą. Minęło parę tygodni; zacząłem już prawie zapominać o Maryanie, gdy wtem spotkał mię jeden akademik, także znajomy Maryana, który jakiś czas był z nim razem na stancyi.

— A wiesz, jaką nasz Maryanko sztukę wystroił?

— No jaką? Nic nie wiem!

— To ci chłopiec! Spekulant, jakich mało!

— Ależ gadaj; co takiego?

— Przyszedł ci do mnie list od pewnego mego znajomego ze wsi: pisze, że taki a taki obywatel poszukuje-dyrektora dla dwóch malców: bądź to akademika, bądź też studenta z wyższego gimnazyum — rozumie się celującego. Warunki wyśmienite: utrzymanie i 400 reńskich rocznie, nie licząc w to rozmaitych bene. Mnie jakoś nie było w domu, a mój Maryanko list otworzył — w jednej chwili do obywatela list napisał — przyjął warunki, posłał świadectwa, sam przepisał się na prywatkę i machnął ci nieboże na wieś. A ja nawet o niczem nie wiedział — dopiero mi wczoraj znajomy pisze, czemu nie przyjechałem sam, tylko dałem takie korzystne miejsce drugiemu — chociaż, dodaje — z niego tam wszyscy bardzo kontenci! Prawda, zuch chłopiec!

Od tego czasu upłynęło dwa lata, w przeciągu których nie słyszałem o Maryanie — przestałem zupełnie interesować się tym młodym spekulantem. Dopiero teraz przypadkiem spotkałem się z nim w kawiarni, gdzie też miało miejsce przywitanie, przytoczone u wstępu tego obrazka.

Maryan przez te dwa lata znacznie się zmienił i podrósł, zmężniał — a twarz jego okryła się tą śniadą, ołowianą prawie barwą, która cechuje ludzi, trawionych pewną idee fixe i poświęcających dla niej wszystko. Każdy ruch, każde słowo Maryana świadczyło o znacznym wzroście gorączki.

Chwilę milczeliśmy — wreszcie zacząłem go wypytywać, jak mu się powodziło?

— Dobrze — odpowiedział. — Miejsce było bardzo dobre i wikt porządny, a oprócz

rocznych 400 reńskich jeszcze „obrywki“ rozmaite — człowiek się trochę zapomógł.

Spojrzałem na niego uważnie, i w istocie wyglądał dobrze, odzież na nim była elegancka i z niepośledniej materyi, wszystko świadczyło o życiu w dostatku i wygodzie.

— No, a ile tak pan uskładał? — zapytałem na żart.

—A, tak z półtora tysiączka!—odpowiedział on. — Pieniądze złożyłem w kasie oszczędności chociaż bestyjstwo — procent mały! Do wojska mię nie przyjęli — więc chcę wstąpić do szkoły handlowej. Cóż, może człowiek potrafi kiedyś dobić się czego!

— A cóż brat pański — jak mu się powodzi? — spytałem.

— A diabli go tam wiedzą! — odrzekł Maryan jakoś złośliwie! — Nie mięszam się do niego już od półtora roku — niech go tam licho porwie! Dam ja sobie radę i bez niego, chociaż, rozumie się, mojej cząstki, która mi przypada po ojcu, nie daruję mu! O, kiedyś my się jeszcze porachujemy!

Mówiąc te słowa — zaśmiał się suchym, szyderczym śmiechem lichwiarza, wiedzącego, że jego „kawałek“ nie przepadnie.

Rozstaliśmy się.

„Dobiję się,“ „nie daruję,“ „obrywki,“ „półtora tysiączka,“ te i tym podobne terminy brzęczały mi po głowie, gdym rozstał się z Maryanem.

Oto jest „zwyczajny człowiek,“ to znaczy, że takich ludzi u nas mnóstwo, że oni stanowią główną masę dorastającego „intelligentnego“ pokolenia! I wszyscy oni w istocie o tem tylko marzą, by się „dobić“ czegoś, by „nie darować,“ „urwać“. I cóż to będzie, gdy oni dorosną, rozwiną się, zmocnieją? Czy wystarczy całej naszej „świętej Rusi“ na należyte „kawałki“ i „obrywki“ dla nich? Trwoga przenika mię na myśl o przyszłości. A już rozumie się. że tu nawet powstawać nie może pytanie o korzyści dla ludu, o pracy dla niego, o służeniu jego dobru. Sama myśl o podobnych „dziecińswach“ w oczach tych ludzi do tego stopnia śmieszną jest i niedorzeczną, że wzbudza w nich nic szyderstwo nawet, lecz politowanie.

J. F.

Piśmiennictwo polskie.

(*Jan Kiliński, obraz dramatyczny mieszczański w pięciu aktach a siedmiu odsłonach, napisał G. F.*)

Ostatnie czasy niepodległego bytu rzeczypospolitej polskiej powinnyby być bardzo ponętnem tłem dla pisarzy dramatycznych, naprzód dla tego, że były chwilami groźnego przełomu, w których się najlepiej okazuje wartość energii ludzkiej, powtóre dla tego, że w niezmiernie obfitych pamiętnikach z tych czasów obok wielkiego materyału anegdotycznego przechował się wybornie koloryt życia współczesnego. Dotychczas jednak pole to, tak bogate, prawie zupełnie jest zaniedbane, prawie nietknięte przez dramatycznych pisarzy, jakkolwiek już Słowacki w swojej wizyi dramatycznej: „Ksiądz Marek,“ Mickiewicz w swoim fragmencie Konfederatów barskich wskazywali niejako późniejszym poetom na tę wielką rudę dramatycznego materyału.

Autor, ukrywający się pod literami G. F., sięgnął do tej kopalni, aby wyprowadzić z niej na scenę tak popularną a już uświetnioną w poezyi postać szewca Kilińskiego. Sumiennie i pilnie przestudyował on pamiętniki tego mieszczańskiego bohatera i postać jego najwierniej przekopiował z tego dokumentu, tak dalece, że nie tylko wszystkie wypadki opowiedziane w pamiętniku, w których brał udział Kiliński, wyprowadza p. G. F. na scenę, ale nawet w wielu miejscach wkłada bohaterskiemu szewcowi i innym osobom w usta słowa, żywcem z pamiętnika wyjęte, jak ten w rozmowie Kilińskiego z Morawskim („Ale mnie się zdaje, że tam była część tylko tymczasowych patryotów“ itd.) albo w rozmowie z Igelstromem.

Ale i p. G. F. chociaż obrał sobie temat z tych czasów, choć postać swego bohatera odwzorował wiernie podług pamiętnika, nie skorzystał przecież najmniej ze skarbów, wśród których się znalazł, bo poprzestawszy na udramatyzowaniu jednego pamiętnika nie dotknął mnóstwa innych, zkądby mógł zaczerpnąć farb do tła, na którem postać Kilińskiego powinna była być przedstawioną. Czuł zapewne sam autor w swoim utworze brak głębszego tła narodowego, brak perspektywy dziejowej i dla tego nazwał np. utwór *obrazem dramatycznym mieszczańskim.* Ale złego tem nie naprawił. W życiu potocznem, spokojnem, można brać warstwy oddzielne społeczeństwa i w ich sferze zamykać akcyą, ale w takiej chwili jak insurekcya 1794, w chwili tragicznego łamania się losów narodu, gdy wszystko, co żyje, od góry do dołu, dobrowolnie czy mimowoli ulega ogólnemu zamętowi, w takiej chwili nie można wysuwać jednej warstwy społecznej i w jej czarne ramy wciskać wypadek, który choć się przeważnie odegrał w tej jednej sferze, potężnie jednak wstrząsnął wszystkiemi warstwami narodu.

Ten brak tła historycznego, to zamknięcie akcyi narodowej w ciasnej izbie mieszczańskiej i pozbawienie jej dalekich horyzontów dziejowych stanowi błąd organiczny utworu, o którym mówimy. Wprawdzie słyszymy tu narzekania na króla i panów, ale ani króla, ani panów nie widzimy wcale, a tymczasem czyż mogła być figura bardziej zapraszająca się do dramatu na temat Kilińskiego, jak Stanisław August, ów monarcha, co chwiał się na wszystkie strony i co własnemu wojsku musiał ustąpić z drogi w bramie, gdy to opuszczało go, aby się połączyć z insurrekcyą? Dopiero mając przed oczami takiego króla, można dobrze zrozumieć, dla czego taki szewc, jak Kiliński, mógł tyle dokazać na własną rękę.

Jeżeli jednak będziemy patrzeć na utwór p. G. F. tylko jako na owoc chęci spopularyzowania pamiętnika, jako na próbę przelania tego ostatniego w formę dramatyczną, to musimy przyznać, że próba jest wcale zręczną.

J. T.

(*Poezye Goethego (wybrane) tłumaczył Hugo Zathey, W Krakowie, 1879. Nakładem redakcyi Przeglądu Polskiego. 8ka, str. 103. W drukarni Czasu.*)

Pod tym tytułem redakcya *Przeglądu Polskiego* wydała książeczkę zawierającą tłumaczenia 37 mniejszych poezyi Goethego, przez p. Hugona Zathey'a. Ktokolwiek próbował sił swoich na polu rymotwórstwa, ten wie dobrze jak trudną i niewdzięczną pracą są przekłady pierwszorzędnych mistrzów poezyi. Tłumaczyć źle jest bardzo łatwo, tłumaczenie, nie powiemy znakomite, lecz tylko dobre, przedstawia trudności prawie niezwalczone. Ażeby tłumacz dorównał poecie, którego przekłada, musiałby mieć nietylko talent tej samej siły, ale jeszcze tego samego rodzaju, co się rzadko zdarzyć może, a i w takim wypadku, trudności językowe nie dadzą tych samych myśli i porównań oddać w tej samej formie i z tą samą siłą. Dla tego mamy w każdej literaturze, a i u nas także, wiele poetycznych arcydzieł oryginalnych, a bardzo mało, prawie nic tłumaczonych. Widzimy więc jak niewdzięcznego zadania podjął się p. Zathey porywając się na przekład poezyi Goethego i to poezyi mniej treściwych, a więcej uczuciowych, dla oddania których potrzeba mistrzowsko władać poetycznym językiem.

To też tłumaczenia p. Zatheya nie wytrzymują, powiedzmy to otwarcie, najpobłażliwszej krytyki. Polotu, wdzięku, uczucia, prostoty, dobrego smaku oryginału, nie ma tam ani śladu, a forma taka jakaś dziwna i twarda, i język przy głośnem czytaniu łamiąca, że po wygłoszeniu kilkunastu wierszy literalnie odpoczywać potrzeba. Dla przykładu podajemy jedną piosnkę:

Bliskość ukochanej.

Myślę o tobie, kiedy słońca *brzask*
Wstaje od morza;
Myślę o tobie, gdy księżyca blask
Źródło *odwzorza* (co to jest?)

Ja widzę ciebie, gdy na drodze *w dal* (chyba w dali)
Kurz się podnosi; (Och!)
W nocy ponurej, gdy wędrowca żal
Oko *łzą zrosi* (tu język musi się splątać).

Ja słyszę ciebie, chociaż głucho *tam*,
Tak wody *dyszą*
I w cichym gaju, kiedy słucham sam,
Otoczon ciszą.

Jestem przy tobie, choćbyś nie wiem jak
Daleką była!
Słońce zachodzi, gwiazd już widać *szlak*,
Ach *przyjdź*, o miła!

I to ma być prześliczny wiersz Goethego p. n. „Nähe des Geliebten.“

Mimochodem zapytujemy p. Z. dla czego tytuł i treść wiersza przerobił z „Bliskość ukochanego“ na „Bliskość ukochanej“? U Goethego kobieta tęskni za mężczyzną, ztąd wyrażenia: kurz, wędrowiec, las, i t. p. mają racyę bytu; u p. Zatheya, zastosowane do kobiety, pozbawione są wszelkiego sensu.

Niestety wszystkie przekłady p. Zatheya są tego samego wdzięku i tej samej wartości.

Chropowatość wiersza u p. Zatheya pochodzi głównie z nadużycia rymów męzkich. Rymy męzkie w języku polskim są bardzo łatwe, ale niezmiernie zdradliwe. Ogromnej potęgi słowa potrzeba, ażeby były na miejscu; zbyt często używane zawsze zaszkodzą. Na dowód wskazujemy na mistrzów naszych Mickiewicza i Słowackiego, którzy bardzo rzadko i nader ostrożnie rymów męzkich używali, a to tak rzadko, że na dziesiątki tysięcy ich wierszy, zaledwie kilkaset męzkich rymów znalazłby się dało. Że u Goethego rymy męzkie powtarzają się często, rzecz zupełnie inna; jest to właściwością języka niemieckiego, że jednozgłoskowe rymy brzmią w nim dobrze; w polskim, nawet potężnie użyte, gdy zbyt częste, nużą.

Ażeby nas nie posądzono o zbyt surową ocenę pracy p. Zatheya, podajemy jeszcze jedną zwrotkę, dowodzącą jakie wyobrażenie ma p. Z. o rymach:

Ty błogosławisz
Polom i *błoniom*,
I świat ten cały
Napełniasz *wonią*.

Takich rymów Goethe z pewnością nie używał, a podobnych strofek wieleby u. p. Zatheya przytoczyć się dało.

Z przedmowy autora do przyjaciół, widzimy, że tłumaczenia obecne są pierwszą próbką p. Zatheya na polu poezyi. Nic więc dziwnego, że próbka ta jest bardzo, bardzo słabą. Tem mniej się dziwimy gdy autor sam przyznaje, że „praca szła mu bardzo swobodnie i jakby od niechcenia.“ „Ztąd powstały, mówi dalej p. Zathey, pewne tu i ówdzie niedokładności, które mogłem, których jednak nie chciałem później poprawiać, pomny przestrogi Goethego:“

„Bilde Künstler, rede nicht; nur ein Hauch sei dein Gedicht. Ta swoboda, z jaką praca była wykonaną, obok zachęty przyjaciół, skłania mię do ogłoszenia tej próby.“

Pomimo cytaty Goethego ośmielamy się twierdzić, że sztuka rymotwórcza, tak jak każda inna, wymaga studyów i pracy; pracy ciężkiej, przy największym nawet talencie. Inaczej, talent potężny nawet wyda rzeczy zaledwie średnie, a talent malutki rzeczy do niczego. Wskazujemy na rękopismy Mickiewicza i Słowackiego nieraz bardzo kreślone i poprawiane.

Nie będziemy dłużej rozbierali tłumaczeń p. Zatheya, które nie mają żadnej wartości dla naszej literatury, a ciężką krzywdę wyrządziły Goethemu; zrobimy tylko jeszcze jedną uwagę.

Że przyjaciele zachęcili p. Zatheya do ogłoszenia drukiem jego wierszy, to rzecz zwyczajna; że p. Zathey zdecydował się na ten krok fatalny, temu się nie dziwimy — miłość własna usprawiedliwia poniekąd każdego autora — dziwimy się tylko szanownej redakcyi „Przeglądu Polskiego,“ która ma pretensyę do berła krytyki u nas, że tę książeczkę wydała i za jednym zamachem skompromitowała Goethego, siebie i autora.

Wydanie książeczki czyste i gustowne, korekta nadzwyczaj staranna.

TYDZIEŃ LWOWSKI.

Lwów dnia 3. października.

W niedzielę o godzinie 11 z rana spuściliśmy nareszcie węgielny kamień pod gmach sejmowy — mówię spuściliśmy, albowiem mury tego gmachu już wznoszą się do drugiego piętra, i na umieszczenie owego kamienia zostawiony był odpowiedni otwór w fundamentach. Wydział krajowy chciał uroczystości tej nadać powszechniejsze znaczenie, obrawszy dla niej czas posiedzeń sejmowych, aby ojcowie Galicyi, Lodomeryi z W. księstwem krakowskiem mogli wziąć w niej udział. Mimo deszczowej groźby ze strony nieba, ciekawość publiczna zapędziła na plac budowy spore gromady poczciwych Lwowian i Lwowianek, które w amfiteatrach urządzonych po obu stronach głównego namiotu były podobno najpiękniejszą ozdobą całej uroczystości. Nad głowami ich z jednej strony przygrywała c. k. wojskowa muzyka coś w bardzo płaczliwo-uroczystym tonie, a z drugiej chór Towarzystwa muzycznego odspiewał na ten cel ułożoną przez p. Aurelego Urbańskiego kantatę. Wyżej jeszcze na szczytach niedokończonych murów biwakowały w malowniczy sposób gromady ciekawych dzieci lwowskich, gdy pod środkowym namiotem zgromadził się cały kwiat dygnitarzy rządowych i autonomicznych, duchowieństwo, reprezentacye ciał naukowych i inne znakomitości naszego kraju... Marszałek hr. Wodzicki przemówił pierwszy, namiestnik Potocki drugi.

Po mowach i odczytaniu z precyzyą i bardzo ciepło zredagowanego aktu fundacyjnego, odbył się obrzęd poświęcenia przez ks. arcybiskupa Wierzchlejskiego, podpisano protokół, zapuszczono ołowianą puszkę z dokumentami w wyżłobienie kamienia węgielnego, poczem hrabia Marszałek krajowy pierwszy przyrzucił kamień wapnem, co po nim uczynili toż samo JE Namiestnik, JE generał Neipperg i najznakomitsi obecni dygnitarze. Były podobno i opozycye jakieś ze strony Rusinów i ze strony reprezentanta władz miejskich, ale te zagłuszyła muzyka grająca Hymn austryacki. Kielnia i młotek misternie do uroczystości tej wyrobione, niestety ofiarował Niemiec pan Milde z Wiednia, zapewne jeden z przedsiębiorców robót ślusarskich przy nowym gmachu. W końcu dodać musimy, że wznoszące się mury i sztandary ubrano różnokolorowemi chorągwiami a przed namiotem głównym umieszczono tarczę herbową królestw Galicyi i Lodomeryi. Tak więc dopełniony został wspaniały i uroczysty obrządek poświęcenia gmachu, który bodaj jak najprędzej ustąpił miejsca innemu z takiem samem przeznaczeniem wybudowanemu gmachowi dla sejmu zjednoczonej i pełnej już ojczyzny naszej... Lwów i cała Galicya zrobi chętną ofiarę ze swej ambicyi, a tymczasem niech dziś wznoszący się budynek będzie zaszczytnem przytuliskiem narodowości naszej, a przedewszystkiem cnót i prawdziwie polskiego patryotyzmu.

Obok tego dominującego po nad wszystkie inne zdarzenia, jakże bladą wyda nam się wiadomość, że Dyrekcya teatru postanowiła nie na żarty rozbudzić w masach ludności naszej, klasyczne namiętności tragiczne po zniżonych cenach. Założenie prywatnej szkoły dramatycznej przez p. Derynga w Warszawie, zwolniło Dyrekcyę od moralnego obowiązku utrzymywania większego personalu artystów w teatrze lwowskim. Nie wiemy czy Wydział krajowy mający polecony przez sejm nadzór nad teatrem, będzie tego samego zdania co do założonej szkoły dramatycznej w Warszawie, której o ile nam się zdaje, żadnych subsydiów nie udziela, ale to nowe postępowanie Dyrekcyi znajdzie gwałtowną opozycyę w c. k. organach bezpieczeństwa publicznego. Jakto? po tylu przedsiębranych pracach tychże organów nad uspokojeniem umysłów publiczności lwowskiej, po tylu konfiskatach niewinnych kronik „Dziennika Polskiego“, „Szczutka“ i innych czynników wzbudzających — teatr po zniżonej cenie ma dawać wśród białego dnia tragedye... i to przez pierwszorzędnych artystów?... Dalibóg tego już zanadto... Nasze kucharki, pokojówki, kelnery i młodzież rzemieślnicza i tak już mając do czynienia z ogniem — za wiele w temperamentach i pięściach swoich nosi tragiczności, a cóż to dopiero będzie gdy zobaczą Otella duszącego z zazdrości Desdemonę, albo lady Makbet, albo Walensztejna, albo Schilloka? Nie, to być nie może i z góry przepowiadamy Dyrekcyi, że ta klasyczna taniość (ze względu na podwojoną pracę artystów) zupełnie się nie uda.... Lud nasz chce zabawy, chce przystępnej nauki i przenosi Krakowiaków i Górali, Emigracyą chłopską, Berka zapieczętowanego, albo nawet w beczce nad Hamleta lub Cyda...

Drugą nowością był w tym tygodniu proces prasowy pana Lama przed zwyczajnym sądem karnym w małej sądowej sali. Chodziło o uznanie karygodności Kroniki lwowskiej w nr. 184 „Dziennika Polskiego“ drukowanej, gdzie c. k. prokuratorya uznała wykład p. Lama o Hinterlandzie i Vorderlandzie za szyderstwo, jak się pan prokurator wyraził, z *naszej* armii okupującej Bośnię i Hercegowinę, przedstawiwszy ją (nie armię) pod postacią cudzych ogrodów, od których obcym powinno być *wara*. Otóż co znaczy osobiste porozumienie się z c. k. prokuratoryą. Pan Lam z Dziennikiem w ręku, wyłożył jak łopatą, że Hinterland na mocy kongresu berlińskiego jest bez zaprzeczenia naszym, i że on w kronice swej mówiąc o nieprzyzwoitem wciskaniu się do cudzego ogrodu nie myślał wcale o *naszej* armii, ale o tych rebelantach Bośniackich i Hercogowińskich, którzy c. k. kraje kongresem berlińskim monarchii austro-węgierskiej nadane, chcą z bronią w ręku zajmować. Z dalszych wywodów zatem pokazało się, że nie p. Lam, ale c. k. prokuratorya szukając innej myśli w inkryminowanej kronice, jest powodem zakłócenia spokoju publicznego i wzgardy dla władz państwa. Prawo może karać za czyny i za rzecz, ale nigdy za myśli i opinie, jakie piszący ukrywa na dnie swej lojalnej duszy...

Wszyscy obecni przyznali racyą takiemu wywodowi rzeczy obróconemu na nich; ale trudno poradzić z uporem c. k. sędziów. Jak to powiadają: czort swoje, pop swoje — i skończyło się na przegranej, skutkiem czego cały pochwycony nakład 184 numeru „Dziennika Polskiego“ oddany zostanie na pastwę c. k. karzących płomieni.

Sejm nasz pracuje dalej w komisyach jak owa Penelopa prująca w nocy to co w dzień uszyła. Co ekstrakt tego sejmu tak zwany Wydział krajowy przygotował w swych biurach jako projekta do ustaw, to komisye prują to daleko łatwiej niż starą pończochę. Nowelle gminne, ustawy o melioracyi, o kasach zaliczkowych, ustawy drogowe — wszystko to zdaje się pójdzie do kosza, a z nimi razem i posłowie buntownicy jak p. Ludwik Skrzyński, który zmuszony był mandat złożyć, jak pan Hausner, którego również chcianoby się pozbyć w towarzystwie pp. Janka i Krukowieckiego. Zapewne jest to najlepszy sposób utrzymania solidarności w Izbie, mającej zapewnioną konstytucyjnie swobodę słowa i przekonań. Ale czy sprawy sejmowe na tem zyskają, gdy się z komisyi odsuwa ludzi, którzy lat tyle z pożytkiem dla kraju i fachową znajomością rzeczy pracowali? — to rzecz inna. Dożyliśmy tych czasów, gdzie zdolności osobiste i użyteczność sił podporządkowuje się solidarności opartej na konstytucyi 3go Maja jak powiedział p. Zyblikiewicz. Zkąd u pana Boga przyłatał on do sejmu galicyskiego tę konstytucyą — trudno odgadnąć, chyba, że chciał jej użyć za rakietę patryotyczną, bo jak wiadomo, dotąd ona sankcyi Jego Cesarskiej Mości na Galicyą nie otrzymała.

Jakby odwrotną stronę tego patryotycznego medalu rozumu i poświęcenia dla spraw krajowych, przedstawił nam jeden z panów posłów głęboko ukryty autor komedyi „Kandydaci na posła“ cały szereg obrazów z natury zdjętych, w jaki to sposób rekrutują się u nas reprezentanci do zasiadania w Sejmie krajowym. Choć sztuka ta sama przez się jest nudną, to jednak

wszyscy znający tutejsze stosunki prawdy jej odmówić nie mogą, a ta prawda zanadto w oczy kłuć może.

Jednego socyalistę, p. Pawlika, sąd przysięgłych skazał na sześciomiesięczne więzienie, za napisanie powieści obrażającej prawo o małżeństwie, a właściwie za mrzonki objawione w tym względzie na piśmie. Cóżby to nastąpiło, żeby sądy pociągnąć chciały do odpowiedzialności mężów i żony faktycznie gwałcących te prawa? Prejudykat istnieje... wiarołomni miejcie się na ostrożności. Drugi socyalista, p. Bolesław Limanowski wyjechał już za granicę wskutek polecenia władz tutejszych — możemy więc odetchnąć swobodnie i bez nowelli do prawa o socyalistach, z którą o ile słyszeliśmy książę Bismark ma tyle do czynienia, że już parę tuzinów ołówków pokruszył a serc liberalistów niemieckich nie zjednał.

* * *

— *Nowy dziennik polityczny* ma być wkrótce założony we Lwowie. Partya Stańczyków zajmuje co raz nowe pozycye, zawładnęła uniwersytetem krakowskim, akademią nauk, wydziałem krajowym, delegacyą w Wiedniu, sejmem i t. d. nie powodziło się jej dotąd we Lwowie, teraz jednakże czują się już na siłach założenia tu pisma codziennego. Sukcesa te swoje zawdzięcza nieporadności i ospałości stronnictwa narodowego, które ogranicza się tylko na wyrzekaniu przeciwko Stańczykom, a którego organa jak *Gazeta Narodowa i Dziennik Polski* uchodzące za pisma postępowe tak się zasklepiły w formułkowości i egoizmie, że trudno jest określić czy taki *Czas* czy one są więcej reakcyjnemi. Dla przykładu zapisujemy, że w ostatnich czasach wydalono z kraju znanych patryotów i ludzi najzacniejszego charakteru jak Kalisz, Giller, Limanowski, a żaden głos protestu przed wywiezieniem nie postał w tych narodowych organach. Tylko energiczne wystąpienie *Tygodnia* przeciw Zyblikiewiczowi zniewoliły te pisma, że się odezwały echem, chociaż bardzo oględnie, aby się nie narazić partyi Stańczyków. Odbył się przed sądem przysięgłych we Lwowie *proces prasowy*, a nasze postępowe pisma ani słowem o takowym publiczność nie zawiadomiły. Kto tak zaniedbuje obowiązki, ten traci prawo bytu i wcale dziwić się nie będziemy, jeżeli organ stańczykowski znajdzie powodzenie we Lwowie, w tym Lwowie, gdzie stronnictwo postępowe jest tak silne liczebnie. Mamy tego najlepszy dowód, że niezależne dzienniki lwowskie nie potrafiły nawet wytrzymać konkurencyi z urzędową gazetą i w walce o byt, tracą grunt pod nogami.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literatura, sztuka i nauka.

*** Siemiradzki rozpoczął malować wielkie dzieło historyczne „Obleżenie Głogowa przez Niemców“.

*** Nową powieść dwutomową Jana Zachariasiewicza rozpoczęto drukować w „Tygodniku Illustrowanym:“ tytuł jej: „Tajemnica Stefanii“.

*** Wyszedł z druku u Charpentier'a tom utworów Emila Zoli (Théâtre d'Emile Zola“). Między innemi zamyka on w sobie pełen rozgłosu „Pączek róży“ („Le bouton de rose“).

*** Pomnik Puszkina ma być już ostatecznie wykończony w roku przyszłym; pomnik ten kosztować będzie przeszło 80,000 rubli.

*** „Zasady socyologii“ Spencera ukazały się w przekładzie francuskim pana Cazelles, tłómacza „Pierwszych zasad“ i „Zasad biologii“ wielkiego albiońskiego myśliciela! Dzieło to przełożone zostało również na język polski.

*** Pan Jan Jeleński ogłosi w niedługim czasie pracę swoją pt.: „Eliza Orzeszko w kwestyi żydowskiej“.

*** Nową powieść T. T. Jeża pt.: „Zbłąkany“, zacznie pomieszczać w szpaltach swoich *Biesiada literacka.*

*** Pan Bronisław Grabowski, autor kilku prac dramatycznych, napisał nową komedyę czteroaktową, pt.: „Podupadli“.

Utwor ten dramatyczny ma być drukowany, jak słyszeliśmy, przez jedno z pism.

*** Wyszła temi dniami z druku praca wielce uwagi godna.

Jest to rzecz streszczona ze zbioru przepisów administracyjnych Królestwa polskiego (rok 1868), pt.: „Dawne wychowanie szkolne“.

Opierając się na wielce cennem źródle zawartem w zbiorze materyałów, autor p. Jan Zaruski zarysowuje dokładny a interesujący obraz dawnego u nas wychowania, zestawiając jednocześnie dane statystyczne o stanie szkolnictwa naszego czasów ostatnich.

Praca, o której mowa, z tego osobliwie względu zasługuje na uwagę, że sam zbiór przepisów administracyjnych, dzieło z 67 tomów złożone, jest obecnie niemal rzadkością bibliograficzną i w handlu księgarskim zupełnie się nie znajduje, tak, że użytkowanie zeń jest niezmiernie utrudnione.

*** *Socyalizm jako komiczny objaw dziejowego rozwoju.* Przez Bolesława Limanowskiego. Lwów. 8ka str. 98. Nakładem autora 1879 r. Jest to broszura, do napisania której dała powód książka p. Au „Socyalizm jako objaw choroby społecznej i td“. Pan Limanowski na każdym kroku zbija twierdzenie pana Au, wykazuje ich nielogiczność i nieznajomość przedmiotu, do którego skrytykowania p. Au zbyt lekkomyślnie przystąpił, p. Limanowski wszakże nie ogranicza się na odprawie danej p. Au i owszem tylko w odsyłkach rozprawia się z nim, same zaś dzieło poświęca przedstawieniu: „Co to jest socyalizm, Teorya socyalizmu, Socyalizm w praktyce, Socyalizm i patryotyzm, Czy ma socyalizm w krajach polskich warunki bytu?“ Praca ta p. Limanowskiego, jak wszystkie poprzednie jego prace, jest napisana z gruntowną znajomością przedmiotu, wyczerpująco i nadzwyczaj jasno. Już dawniej, w dziele swojem „Socyologia Augusta Comte'a“ dał on nam poznać zasady pozytywizmu, obecnie poznajomił nas z kwestyą socyalną i dziennikarze nasi nie będą już teraz potrzebowali strzelać bąków, pisząc o tej kwestyi. Jakkolwiek nie podzielamy bezwzględnie teoryi bronionych przez autora, jednak z prawdziwą przyjemnością odczytaliśmy jego książkę. Tyle tam ciepła i gorącego patryotyzmu, że wobec blichtru patryotycznego, jaki na każdym kroku u nas się spotyka, z przyjemnością widzi się, że są jeszcze ludzie, którzy nietylko czuć, ale i z zaparciem się pracować dla kraju potrafią.

JUBILEUSZ J. I. KRASZEWSKIEGO.

*** Proszeni jesteśmy o zamieszczenie w „Tygodniu“ następującej odezwy:

Myśl uroczystego obchodu pięćdziesięcioletniej rocznicy działalności literackiej J. I. Kraszewskiego podniesiona przed rokiem, poruszyła wszystkie umysły i serca, jak daleko dźwięk polskiej rozbrzmiewa mowy. W stolicy Wielkopolski zarówno jak w starym królewskim grodzie podwawelskim, w serdecznem ognisku Polski w Warszawie i w czerwonoruskiej Daniela stolicy, myśl ta przyjętą została z zapałem, a i miasta prowincyonalne oświadczyły gotowość złożenia w dniu tym uroczystym czci swojej, ofiarując jubilatowi to, „czem chata bogata.“

A każdy, od największego aż do maluczkich, niesie ten dar serdeczny. Literaci, przemysłowcy, malarze, muzycy i inni artyści składają się na ten wawrzyn, który ma ozdobić czoło jenialnego pisarza, gorącego patryoty, wielkiego człowieka. Dzień 19go marca 1879 r. będzie dniem świątecznym dla całej Polski, bo w dniu tym odda ona cześć mistrzowi pióra i bojownikowi najwznioślejszych idei. Woń kadzidła, które żarzyć się będzie dla uczczenia jubilata, rozniesie w dalekie strony sławę Polski. Wywiesi ona tym sposobem świetny sztandar, który dzierżył i którego bronił zawsze znakomity nasz pisarz, sztandar, na którym lśnią słowa: „Miłość, Praca i Wolność.“

Ale wzniosłe te godła nie każdemu z nas podnieść dozwolono, nie każdemu je głosić. Warszawa, która chce uczcić ten dzień wydaniem jubileuszowej księgi, mającej zawrzeć w sobie zbiorową pracę autorów polskich o życiu i pismach Kraszewskiego, musi pominąć wpływ działalności jego na rozwój uczuć i myśli narodowych(?). Prace Kraszewskiego w tym kierunku nie małej są przecież wagi, znaczenie ich dla nas olbrzymie. Działalności takiej nie wolno pominąć. Stać się ona może dla nas nauką i wzorem, a drogowskazem dla Polski na przyszłość.

Prace takie, jak powieści Bolesławity, powieści historyczne z czasów rozbiorowych. „Rachunki.“ „Wieczory Drezdeńskie,“ dzieła historyczne itp. zajmują wśród licznych prac Kraszewskiego tak wybitne miejsce, że bez nich księga jubileuszowa obyć się nie może. Obowiązkiem jest naszym zapełnić te luki, któreby powstać mogły z powodu wyjątkowych warunków, w jakich się znajduje Warszawa i tym sposobem dla przyszłych biografów płodnego pisarza pewną pozostawić całość.

W tym właśnie celu, w celu dopełnienia księgi jubileuszowej warszawskiej oceną działania Kraszewskiego na polu obywatelskiem i narodowem, zawiązał się komitet redakcyjny, który wydanie drugiego tomu takiej księgi wziął sobie za zadanie i niniejszem zaprasza do współpracownictwa wszystkich polskich autorów, których zbiorową li tylko pracą dzieło takie może dojść do skutku. W księdze tej pomieszczone będą nie tylko rozbiory tych dzieł, które wyszły po za granicami zaboru moskiewskiego i w lepszych stosunkach w jego obrębie, lub też ocena pojedyńczych poglądów tam wypowiedzianych, słowem, nie tylko prace ściśle literackie, krytyczne i naukowe, ale także i opisy pobytu i działań jego w kraju i na tułactwie. Opisy takie zwłaszcza będą bardzo miłym i cennym przyczynkiem do ogólnej biografii czcigodnego jubilata, a w pracy tej i nieliteraci z zawodu mogą wziąć udział. Kraszewski bawił wśród nas niejednokrotnie był uroczyście przyjmowany w Krakowie, w Poznaniu, we Lwowie; od lat tylu znajduje się na tułactwie. Wiele jest osób, które miały tę przyjemność spędzenia z nim chwil kilku i niejedne miłe ztąd w sercu chowają wspomnienie. Opis takich chwil komitet przyjąłby z przyjemnością.

Księga jubileuszowa lwowska wydana zostanie drogą prenumeraty, czysty z niej dochód wpłynie do ogólnej kasy funduszu jubileuszowego. Komitet więc niepłonną żywi nadzieję, że na cel taki ni piór, ni ofiar pieniężnych nie zabraknie.

Artykuły nadsyłać można do końca grudnia b. r., Autorów uprasza komitet o przedwstępne porozumienie się z redakcyą i doniesienie, który ustęp z dzieł opracować, lub który moment życia Kraszewskiego opisać mają zamiar, w tym celu, aby redakcya mogła jak najrychlej ułożyć dzieło systematycznie i druk natychmiast rozpocząć.

Prenumerata wynosić będzie 3 zł. w miejscu, 3 zł. 50 ct. na prowincyi, 6 marek w Wielkiem ks. Poznańskiem.

Manuskrypta i pieniądze nadsyłać należy pod adresem sekretarza komitetu: Bolesław Spausta, w redakcyi *Gazety Narodowej* we Lwowie, plac Halicki pałac Ulanieckich. *Podpisy.*

ROZMAITOŚCI.

*** Donoszą nam z Wilna: W d. 19. września o pół do siódmej rano tuż przed samą stacyą drogi żelaznej, miało miejsce spotkanie pociągów Lokomotywa manewrująca z wagonami pasażerskimi (próżnemi) na stacyi tutejszej wysunęła się na linią drogi żelaznej o kilkaset (300—400) kroków przed stacyą, nie zachodząc dalej za sygnał stacyjny jak o jakie 50—70 kroków, ażeby przeprowadzić wagony na inną kolej relsów. Nieszczęście mieć chciało, że w owej chwili nadszedł pociąg pasażerski z Mińska. Nastąpiło spotkanie, skutkiem czego dwie lokomotywy mocno nadpsute, trzy wagony pasażerskie strzaskane na miazgę. Na szczęście były to wagony manewrującego pociągu, na którym nikt ze służby nawet nie ucierpiał. Ale za to w pociągu idącym z Mińska ciężko ranni: maszynista, jego pomocnik i palacz; tender który został rozbity przez nasuwające się wagony bagażowe, zniszczył platformę lokomotywy, na

której się mieściła służba. Wagon pocztowy też uszkodzony, urzędnicy jednak pocztowi jako też i pasażerowie innych wagonów zostali tylko mniej lub więcej stłuczeni. Naoczni tego wypadku świadkowie, a było ich dość wielu, bo wypadek miał miejsce na przedmieściu ludnem, opowiadają, że wagony stanęły słupem w literalnem tego słowa znaczeniu. Mówią też, że jeden żołnierz, który usiłował ratować się ucieczką i wyskoczył z platformy wagonu został przygnieciony przez jeden wywrócony wagon. Zawinił tutaj jakoby nie maszynista, ale ustawiacz wagonów, który, gdy maszynista nie chciał już jechać, obawiając się spotkania z pociągiem mińskim, który lada chwila mógł nadejść, odezwał się doń: „Nie twoja rzecz, jedź kiedy każę, ja potrzebuję wojskowy pociąg wyprawić.“ Natychmiast po tym wypadku aresztowano go.

*** Wezuwiusz od czasu słynnego wybuchu 1872 roku spoczywał...

Uśpiony olbrzym od czasu do czasu tylko dawał znać lekkiemi chmurkami dymu o wewnętrznej swej działalności.

W grudniu roku zaprzeszłego zaczął się on przebudzać..

Przebudzić się jednak nie zdołał.

Temi dniami zauważono znów symptomata zwiastujące wybuch.

Wybuch nastąpił.

Aż do samego prawie krateru, podczas wybuchu, w nocy z 23 na 24 września dotarł w towarzystwie prof. Semmola. wice-dyrektora obserwatoryum wezuwiuszowego, współpracownik jednego z pism włoskich.

Z korespondencyi jego czerpiemy niektóre szczegóły o wybuchu. Po wielkich trudnościach dwaj badacze dostali się nareszcie do krateru.

Wspaniały był tu widok!

Krater 1872 roku przedstawiał morze płomieni.

Z dwóch szczelin nowoutworzonego tam wzgórka wybuchały fale pary i dymu przy akompaniamencie strasznego grzmotu i huku...

Słupy ognistej pary, ścierały się ze straszną gwałtownością, wiązały się i przybierały najfantastyczniejsze formy...

Słały się one niby potężne węże długiemi pasmami po skałach — to znów wybuchały do góry

W chmurach pary połyskiwały strumienie rozpalonej lawy.

Wyrzucane w powietrze rozpryskiwały się one na tysiączne części — a cały ów deszcz ognia spadał do podnóża wzgórka.

Ztamtąd już po pokładach zastygłej lawy z lat przeszłych, żłobiąc w nich koryta, spływały owe ogniste masy najpierw zwolna, później coraz prędzej...

Obok wzgórka na lewo utworzył się nowy jeszcze otwór.

Dawny krater jest zupełnie spokojny.

Potoki lawy wydobywają się jeszcze z otworu zwanego „oknem“ na Atrio dall' Canallo.

Ogólny obraz wybuchu straszny i majestatyczny. Powiększa grozę straszny huk.

Zdaje się, że tysiąc gromów rozszalało w głębiach wulkanu.

Oto wrażenia badaczy, którzy z narażeniem życia na niebezpieczeństwo dosięgli aż do otworu wulkanu.

Powrócili oni z wycieczki nietknięci.

*** Wiadomo, że Lamartin bywał niekiedy bardzo roztargniony, ponieważ muza nie opuszczała go nawet wśród poważnych zajęć życia politycznego.

Kiedy był ministrem spraw zagranicznych, jego papiery biurowe zapełnione były zawsze wierszami, a nawet całemi utworami poetycznemi, które, ma się rozumieć, nie miały nic wspólnego ze sprawami państwa. Skoro tylko jaka myśl zrodziła mu się w głowie, zaraz ją zapisywał, często obok nazwiska jakiego interesanta, podającego prośbę.

Pewnego razu w dzienniku „Moniteur,“ w liczbie innych nominacyj, pomieszczono ogłoszenie, że obywatel Dawid został mianowany konsulem w Bremen. Przyszły dyplomata zapomniał jednak wskazać swego adresu i nazwiska.

Upływa piętnaście dni, nikt się nie zjawia, a Bremen, miasto hanzeatyckie pozostaje bez konsula.

Napróżno wszędy dopytują o Dawida, co się z nim stało, umarł, czy go zabito.

Widocznie musi mieć silne plecy — zauważył sekretarz ministra — bo w przeciwnym razie na jego miejsce już dawno inny byłby mianowany.

Przedstawiono nakoniec sprawę ministrowi, który począł łamać sobie głowę.

— Dawid, Dawid, w żaden sposób nie mogę sobie przypomnieć, dajcie mi brulion papierów.

Przyniesiono żądane papiery, Lamartin przerzuca je szybko, nagle uderzywszy się w głowę, woła:

— Na miłość boską, coś pan uczynił? Jakto, więc prorok, wielki król Dawid mianowany został konsulem w Bremen?

Przy pisaniu psalmów, przyszło na myśl Lamartinowi napisać poemat na cześć ojca Salomona i natychmiast zapisał jego imię obok nazwisk interesantów, nie sięgających nazwiskami swemi tak daleko w przeszłość minionych wieków.

Następnego dnia „Monitor“ ogłosił: „Obywatel Marchant mianowany został konsulem francuskim do miasta Bremen w miejsce obywatela Dawida, który otrzymał inne przeznaczenie.“

HISTORYJKI DYPLOMATYCZNE.
III.
NAPOLEON III. I DZIENNIKARSTWO.

Każda obalona wielkość ulega najczęściej temu smutnemu losowi, że musi jak ów lew chory znieść kopnięcie nogą nawet od swego własnego osła.

Możnaby to zdanie poprzeć tysiącem historycznych przykładów, gdyby coraz nowszych nie bywało w życiu.

Ostatnie numera paryzkiego „Figara“ podają jeden motyw więcej na poparcie powyższego twierdzenia. Stary Granier de Cassagnac, ongi przez lat 25 figura wybitna za drugiego cesarstwa, redaktor takich wpływowych swego czasu dzienników jak „Constitutionel,“ „Pouvoir,“ „Pays“ etc., zamieszcza w „Figarze“ swoje pamiętniki.

Rozumie się, że o ścisłości historycznej mowy być nie może tam, gdzie stronniczość dyktuje autorowi każdy wiersz, każde słowo niemal; mimo to niektóre szczegóły podane przez Cassagnac'a noszą cechę otwartości i trafiają do przekonania czytelnika.

Zanim owe pamiętniki z czasów drugiego cesarstwa wyjdą w osobnej książce z druku, powtarzamy tu za innymi kilka charakterystycznych anegdotek odnoszących się do ścisłego i poufnego stosunku dziennikarskiego, jaki między Napoleonem III. a byłym redaktorem „Constitutionella“ przez ćwierć wieku zachodził, prawie do ostatnich publikacyj z Chislehurst.

Granier de Cassagnac nie oddaje wcale przyjacielskiej usługi pamięci swego pana i mistrza zwierzając się Francyi z tych małych sposobów i sposobików, jakiemi Napoleon starał się oddziaływać na opinię publiczną za pomocą prasy. Cassagnac z miną najnaturalniejszą opowiada np., że ks. prezydent, późniejszy cesarz Francuzów, niezliczoną ilość razy używał jego posługi przeciw własnym izbom i własnym ministrom. Często w organach urzędowych i z katedry obrzucał go obelgami jako potwarcę i zaprzeczał jego artykułom, a poufnie potem przez Mocquard'a i Conti'ego zachęcał go do wytrwania na obranej drodze.

Cassagnac nie tai tego wcale, nie zapiera się; przeciwnie, zdaje mu się, że tem zeznaniem budzi podziw dla sprytu swego... chlebodawcy.

Pewnego razu Rouher ulegając naleganiom izby, musiał go jako minister sprawiedliwości pociągnąć do odpowiedzialności i skazać na 5,000 fr. grzywny za pewne przewinienia prasowe. Bezpośrednio po zapadnięciu wyroku zjawia się u zasądzonego dziennikarza szef gabinetu ks. Ludwika, August Chevalier i przynosi mu w imieniu prezydenta republiki sumę potrzebną na opłacenie kary i drugą taką samą na — prezencik dla obrońcy.

Jeszcze dobitniej stosunek ich przedstawia się w następującym wypadku:

Pewnego wieczoru, kółko jakoś po pamiętnej dacie 2-go grudnia, była recepcya w pałacu elizejskim.

Książę Ludwik siedział na kanapie, zajadając porcyę lodów z kryształowej czarki.

Spostrzegłszy Cassagnac'a pomiędzy zebranymi, mrugnął na niego i kazał mu usiąść przy sobie.

— Każ pan sobie podać lodów — rzekł do niego — i przybierz pan postawę człowieka złajanego przezemnie. Poseł belgijski uskarżał się przed moim ministrem spraw zewnętrznych na artykuł Constitutionell'a, w którym pan nieco za otwarcie wyrażałeś się o moich planach. Jesteś pan przecież zazwyczaj samą wstrzemięźliwością i dyskrecyą, tym razem popełniłeś pierwszą niedorzeczność, jednakowoż stało się już, nie ma innej rady, muszę Belgowi zadosyć uczynić. Gdybym był piękną kobietą, a mój mąż podejrzywał mnie o romans z panem, to musielibyśmy nasz stosunek, chcąc go utrzymać dalej, zerwać z pozoru. Dla odwrócenia podejrzeń musimy się też przez kilka dni podąsać na siebie. O ile sobie przypominam, jesteś pan zaproszony do mnie na jutrzejszy obiad, wiesz co? nie przychodź lepiej, wynagrodzisz to sobie później.

Pokazuje się z tego, jak Napoleon III. dbał o pozory i gdyby był piękną kobietą, a nie cesarzem Francyi, ile sprytu musiałby jego mąż posiadać, nie chcąc się dać oszukać.

Dziennik w rękach Napoleona III. był narzędziem delikatnem a wielce użytecznem; inspirował on pięć czy sześć dzienników swojej prasy, nawet z pośród tych, które nibyto przeciw jego rządowi powstawały. Z redaktorami miewał poufne narady, uwag swych i poglądów udzielał autorom broszur politycznych, wyręczał ich nawet w robieniu korekty poprawiając „swojem“ piórem, wstawiał swoje argumenta, spierał się w niektórych kwestyach a bardzo często pomagał im własnoręcznie spisanemi wskazówkami w tym lub owym przedmiocie.

I któż śmiał był powiedzieć, że wywiera nacisk na cudze przekonania i na zdanie opinii publicznej.

Gdy w r. 1867 z swej prywatnej szkatuły Napoleon III. założył „l'Etendard“ i wezwał na posadę naczelnego redaktora p. Augusta Vitu, wpierw odyskutował z nim całą rzecz jak doświadczony dziennikarz z powołania.

— Dlaczego — zapytał on przyszłego chorążego cesarstwa — „Figaro“ cieszy się takiem powodzeniem?

Przyszły chorąży nie wiedział co ma odpowiedzieć.

— Według mego zdania — mówił cesarz dalej — dlatego, że podaje artykuły krótkie, urozmaicone, każdy z innego tematu.

Napoleon III. lubił taką siekaninkę dziennikarską, smakowała mu ona najlepiej, często sam przy sposobności zaprawiał się na „rozbijaniu pianki piórem publicysty.“

Do pierwszych numerów „Etendard“ naszkicował on własnoręcznie pięć artykułów polemicznych przeciw tym ministrom, z którymi w owym czasie właśnie różnił się w przekonaniach.

Granier de Cassagnac miał sobie manuskrypta oddane do zużytkowania.

Vitu nie zasługiwał na tyle zaufania, obawiano się że nie potrafi trzymać języka za zębami, więc przysyłano mu artykuły złożone w drukarni rządowej, które on dopiero w swojem piśmie zamieszczał, nie przeczuwając nawet kto może być ich autorem; dopiero w dziewięć lat później cała sprawa wyjaśniła się przed nim.

Cassagnac, któremu pan powierzał najczęściej opracowanie podobnych artykułów, musiał je wpierw w Tuileryach odczytywać, notatki zwracać, poprawiać gdy trzeba było i dopiero odnosił do redakcyi. Usłużny Cassagnac, on też na największe zaufanie zasługiwał, — nie darmo się teraz tak z niego chełpi, chociaż czytając jego pamiętniki, już nie bajka o powalonym lwie, ale inne przysłowie się przypomina.

Treść Nr. 58.

Z drukarni A. J. O. Rogosza (Dziennika Polskiego.)

Wydawca i odpowiedzialny Redaktor Mikołaj Biernacki.